

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



KAPLICA BŁ. ŁADYSŁAWA Z GIELNIOWA  
W KOŚCIELE ŚW. ANNY W WARSZAWIE

ZDZISŁAW JASIŃSKI  
Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie



IGNACY GRABOWSKI:

# Patologia niewoli

## II. REZYGNACJA.

Skutkiem silnego wzruszenia jest zmęczenie, skutkiem rozpaczki była rezygnacja. Wielkie cierpienia najlepiej oddaje rzeźba. Szamotanie się przechodzi w kamiennosc. Zaden temat nie wiązal tak silnie wielkich łamaczów kamienia, jak Laokoon i Niobe. To z punktu widzenia sztuki.

A instynkt życia działa podobnie artyście. Na trutkę dostarcza odtrutki, a nazywa się to bardziej niezrozumiale—prawem reakcji. Romans romantyzmu z rozpaczą zakończył się u nas zmęczeniem, to jest rezygnacją. Rezygnacja nie jest czemś więcej, ani czemś mniej, niż poprostu zmęczeniem. Rezygnacja, jako słabość wstydną samej siebie, ubiera się chętnie w szaty filozoficzne. Odzież ta jest bardzo szeroka, szanowna i wywiera na tłum, nie mający czasu myśleć, wrażenie podniosłości. U nas ten kostyum nazwano pozytywizmem—teorią pracy organicznej. Przystrojono go na modłę wszystkich pomysłów socjologicznych i doktryn scyentificznych, jakie wydała współczesna Europa Zachodnia. Jak chocołat Meuniera lub kakao Van-Houtena, obnoszono po wszystkich kapuścianych lub niekapuścianych głowach nazwiska Comte'a, Darwina, Milla, Heckla, Draopera. Dawniej odbudować ojczyznę miał Napoleon, albo On, pisany dużą literą, jakies Czterdzieści Cztery, teraz zbawcą będzie hasło: „praca u podstaw”. Pozytywista polski, antyromantyk, głowa, co się nazywa trzeźwa i rozumna, człowiek, który podniosłość uczucia będzie podporządkowywał „niezmiennym walorom” przyrody, ma pójść do ludu i oświecać go od piwnic aż do poddaszy. Co go ku temu podżega? Ukochanie narodowości, to jest własnej duszy? Indywidualizm? Moc bezwzględna, siła, nie poświęcenie, lecz uświęcenie samego siebie? Nie, on ma pójść za głosem idei społecznej, on siebie samego nie kocha, on kocha lud. Będzie uczył lud on, któremu matka nie śpiewała przy kołysce pieśni rzewnych i gorących, którego ojciec nie posiada w domu historii dziejów ojczystych, on, który nie ma w sobie tej duszy narodowej, jaka zapala bohaterską godność i dostojność w milionach. Będzie ważył na szalach polskość, jak Lavoisier ważył był tlen?

I taki karzelek ma śmieszne pretensje do tworzenia, jak dobry Bóg Wisznu, nowych formacji! Zarty.

Praca... Czy potrzeba aż teorii szkolarskich imperatywów, aby dowodzić, że praca jest warunkiem koniecznym istnienia społeczeństw? Ten tylko człowiek nie rozumie tego, kto nie chce rozumieć, a temu miły jeden tylko imperatyw—batog, dola niewolnika, i nie żałujmy go, albowiem szczęście jego w inercji duchowej. Każdy, kto uświadomił się w swej godności osobniczej, lęka się *niepracy*, jak czarnej przepaści, która go wciągnąć usiłuje na dno zależności bez wyj-

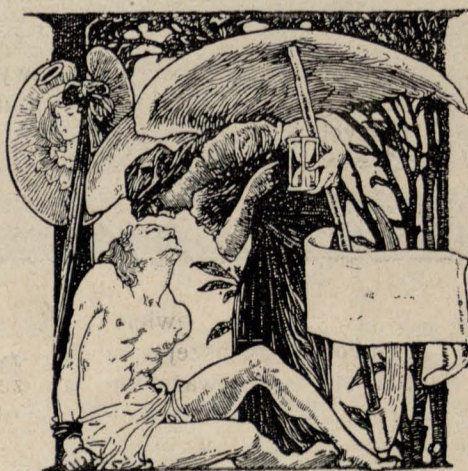
ścia. Nie potrzebuje zgola zewnętrznych w imię społeczeństwa pobudzeń!

Bogaćmy się! Ta piękna perswazyja należała również do sztandaru. Jest to rada następującego rodzaju: „człowieku, staraj się, aby ci było dobrze na świecie”. To rozumie, każdy bez artykułów pedagogicznych. Ale druga część rady, a raczej konsekwencyja pierwszej, nie trafi do każdego. „Bogać się, albowiem, jako człowiek możny i potężny, więcej zdasz dla społeczeństwa, niżeli gdybyś był nędzarzem”. Tutaj związanie faktów jest całkiem przypadkowe, a zależne od piętna duszy jednostki. Jeżeli polskość jest jej postulatem uczuciowym, jej siła stanie się siłą narodu, jeżeli posiada duszę zgaszoną, nie będzie walczyła o męczącą ją indywidualność, a jej dorobek dla narodu—będzie zerem.

Nasze warstwy górne, bogate nie są milionerami amerykańskimi, łączącymi miliardy na wszechnice i instytucje dobra publicznego. Nasze warstwy górne, bogate skłonne są raczej posyłać świętopietrze i zakupywać odpusty za grzechy, niżeli walczyć o indywidualność narodową. Nie posiadają nawet ambicji zajęcia stanowisk władzy i kierownictwa; jedna jedyna troska umęcza je—aby się jak najmniej nudzić. Są duchem odpolonizowane, bo są zmęczone.

I jacyż ludzie żywi, energiczni, męscy mogli byli namawiać do praktyczności, do realności społeczeństwo polskie, które od stuleci grzeszyło zbyt krótkowidztwem i lekceważeniem jutra właśnie z powodu umysłu za realnego, najniezbędniejszą abstrakcją gardzącego, z powodu za daleko posuniętej praktyczności? Nigdzie na świecie ludzie nie przywiązywali takiej wagi do dóbr realnych, jak w Polsce. Nigdzie na świecie nie było tylu procesów cywilnych, patronów, mecenasów, rejentów, wszelkiego rodzaju kauzyperdów. A najlepszym świadectwem superrealnego poglądu jest nazywanie wioski, kawałka ziemi, własności—fortuną, t. j. szczęściem.

W takie społeczeństwo rzucać hasła trzeźwości życiowej było to lać oliwę w ogień, drażnić rozjątrzone pszczoły, odbierać resztę nadzarpanej kultury i zatruwać źródła tradycji historycznej. Jeżeli romantyzm był głównią z płonących strzech, przez wichur roznoszoną, to cała owa „praca organiczna” była zamrażaniem społeczeństwa. Gdy przyszyły poważniejsze dni historyczne, w które zapowiadała



się jakby zmiana kwadry, polskość znalazła się w lodowym domu, postawionym, sposobem gospodarskim, własnymi rękami. Zanim zdołano przebić skorupę, słońce schowało się.

Sofistykacja ludzi zmęczonych wydała skutki fatalne. Przesunęły się przed naszymi oczyma rozmaite formy czynów społecznych i politycznych, a wszystkie prawie cechowała zatechłość, jaką posiadają wody ściekowe z prywatnych domostw. Nie miały w części, w poczynaniu, gorącego i bijącego w górę źródła tej polskości, która nas, dzieci Starej Polski, napawać ma dumą i wznosić ku przybudowaniu Nowej. Piszę wyraźnie: duma usprawiedliwiona. Wiedzieć raz przecie, że tylko jako pares inter pares świat przywiedzie nas znowu do pańskiej zastawy, a inaczej, mimo arcychrześcijańskich zaklęć, nawoływań i miłosierdzi, przejdzie po nas ogniem, mieczem i niewolą, jak dotąd był przechodził.

Niepodobna nie przyznać, że najwybitniejsi ludzie tej gorzkiej epoki czuli głęboko fałsz, ukryty w sofizmacie „pracy organicznej”, że rozumieli płynącą zeń konieczność wewnętrznego rozdzielenia, ale płynąć musieli szeroką deltą rozlanej po płaszczyznach rzeki. I na nich znać zmęczenie, pokryte tu artyzmem, tu dumą nieprzystępną, tu uporem szlachetności.

Henryk Sienkiewicz. Wielki artysta koloru i kształtów słowa. Czy jest monolitem? Tutaj bard straszliwego i nieubłaganego, jak żywiol, Jaremy Wiśniowieckiego, rozkochany w bohaterskiej apatii Petroniusza i starożyńskiego świata, tutaj znowu piszący „ku pokrzepieniu serc” blade wymuszeniem postaci katakumbowe Romy lub polecający społeczeństwu szczególnie gorąco imię pana Połanieckiego. Czy poczucie „l'improductivité slave” nie jest zmęczeniem?

Aleksander Świętochowski. Człowiek, na wzór którego powstał był typ ibsenowski, „człowiek, który jest sam”, i jego akcje „społeczne”. Duch Orzechowskich, Herburtów, Aryanów, zmodernizowany na politykującego Sokratesa. Wyobraźcie sobie burzę w duszy z powodu takiej niezborności, straszliwy ciężar znużenia.

A ten już umarł—Włodzimierz Spasowicz. Dusza całkiem nierealna, a polityka realna. Umarł dla siebie w samą porę, zanim wszystkie jego realności zamieniłyby się w nierealność. Nie mieszka się bezkarnie na obczyźnie.

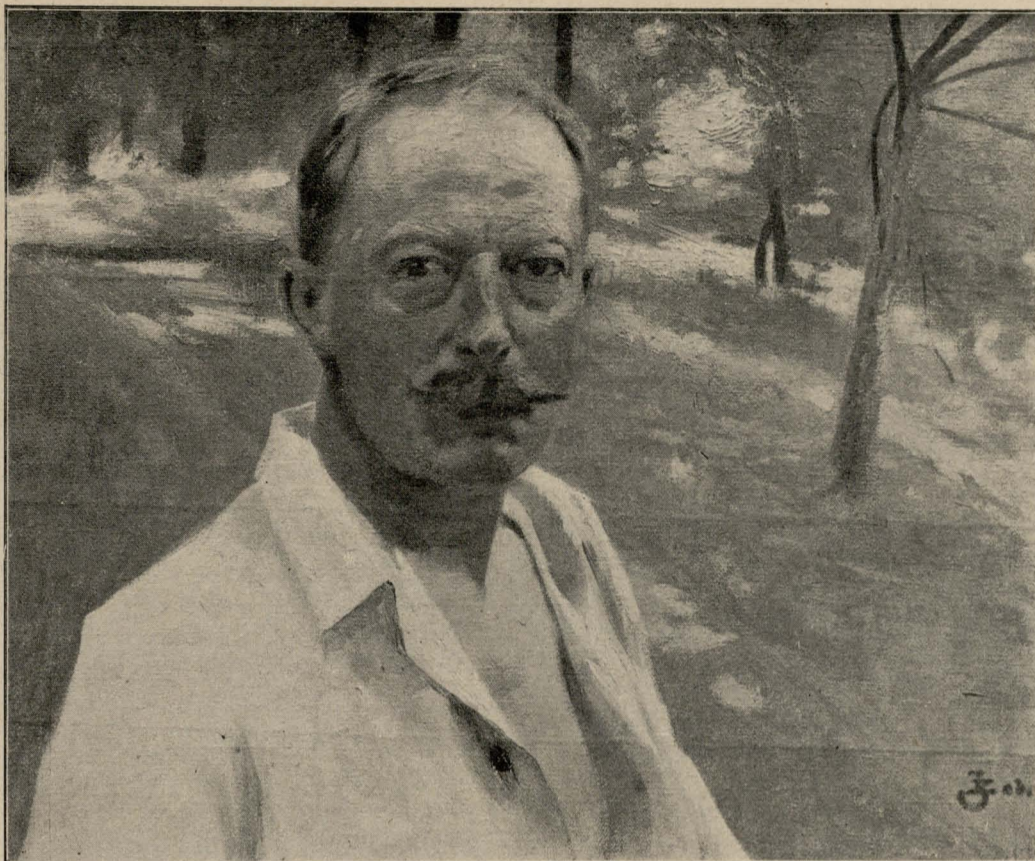
Emigracja wschodnia nie może przynieść nic płodnego, chyba coś ze śnieżnych iluzji, tak jak nic nie przyniosła była zachodnia.

Ponizej tylko ludzi zastępy więcej lub mniej zdolnych, dyskutujących, wadzących się z sobą politykantów i społeczników, połączonych wspólnie jednym rysem: niewiary i rezygnacji. Kto wie, czy nie zarażeni hasłem całego wschodu-Europi: *après nous le déluge*.

*Anima Poloniae silet.* Dusza polska milczy. Większość znaczna ludzi uświadomionych zatraciła już czucie. Obchodzi ich tylko partya, polityka, samorząd i t. p. płody wyobraźni—poza tem naprawdę nic.



ZDZISŁAW JASIŃSKI



AUTOPORTRET

## AUTOR „CHOREJ MATKI“.

Nie wszystkim malarzom dane jest znaczyć działalność swą w sztuce dziełem kapitalnym, dziełem, któreby osiągnęło najszerze odbicie sławy—popularność.

Daremniebyśmy szukali klucza zagadki, na czym polega owa popularność niektórych dzieł sztuki, które z chwilą pojawienia się zdobywają rozgłos, uznanie, są odczute i zrozumiane przez najliczniejsze masy, stają się niejako plastycznym wyrazem zbiorowych pojęć estetycznych, władających daną epoką. Dzieła takie, niezależnie nawet od znaczenia, jakie mają w sztuce, są jakby drogowskazami ewolucji, przez jakie społeczeństwo w intelektualnym i estetycznym rozwoju przechodzi.

W malarstwie polskim, jak i w każdym innym zresztą, są popularne nazwiska, są też i pojedyncze obrazy. Trudno o bardziej znane, bo aureolą wszechświatowej sławy otoczone nazwiska, jak Rodakowski, obaj Gierymscy, Czachórski, Fałat, Mehoffer. Tymczasem żaden z nich nie stworzył obrazu, tak ogólnie znanego, tak popularnego, jak np. „Śmierć Barbary” Simmlera, „Powrót po napadzie Tatarów” Löfflera, „Małżyna Mniszchówna” Wyczółkowskiego, „Szał” Podkowińskiego, lub „Kłótnia Huculów” Szymanowskiego. Pędzel Matejki uprzyścipleniło pamięci każdego: „Kazanie Skargi”, Brandta: „Bitwa pod Chocimem”, Siemiradzkiego: „Świeczniki”, Chełmońskiego: „Kurapaty.” Dla szerokiej publiczności każdy z tych utworów to jasne, skończone w sobie pojęcie istoty wewnętrznej, to w jednym tytule skondensowana cała twórczość danego malarza. Uśmiech losu pozwolił Zdzisławowi Jasińskiemu poruszyć serca i umysły młodzieńczym swym utworem. Uznanie „Chorej matki”, zdobyte w sferach artystycznych środkowej Europy, w chwili ukazania się obrazu po wystawieniu go w Warszawie, znalazło sympatyczne echo w najdalszych zakątkach kraju, gruntując popularność artysty, najzupełniej nieznanego. Obraz namalowany został w 1888 r., w rok potem ukazał się w Monachium, w 1891 r. w Berlinie; jak widzimy, powstał przed dwu-

dziestu już laty, od tego czasu artysta pracował wciąż, tworzył nowe obrazy, a jednak „Chora matka” dotychczas jest jeszcze naczelnym dziełem całej jego karyery artystycznej; pierwsze, a tak ogólne powodzenie wycisnęło jakby znamię fatalizmu na następnej produkcji.

A tymczasem artysta ani chwili nie ustawał w pracy nad rozwojem swego talentu. W parę lat po „Chorej matce” kończy „Nabożeństwo majowe w wiejskim kościółku”, obraz, malowany brawurowo, owoc wielkich wysiłków, opartych na studiach poważnych. Utwór ten, wysłany wraz z tylu innymi polskimi obrazami do Ameryki, nie powrócił już do kraju. Maluje następnie: „Piwiarnię bawarską”, „Z puszczy białowieskiej”, „Portret Małeckiego”, „Chmurę” i wiele innych. Przez lat kilka pracuje nad dekoracją artystyczną, malując plafony w pałacyku myśliwskim w Białowieży, w klubie myśliwskim w Warszawie, w foyer Filharmonii warszawskiej, w katedrze kieleckiej. Usunąwszy się w ciszą wiejską, pracuje w oddali od zgiełku artystycznego i rzadkim jest gościem wystaw warszawskich. Dopiero w tym roku przypomniał się szerszej publiczności, naprzód na Wystawie dorocznej, a następnie wystawiając cały szereg utworów w głównej sali Tow. Zachęty.

Zebrane obrazy są w większej części dorobkiem kilku lat ostatnich. Rozmaitość pomysłów i rodzajów—gdyż mamy tu obrazy symboliczne, dekoracyjne, panneaux, wnętrza, naturę martwą, kwiaty, portrety, krajobrazy—dają świadectwo niezwykłego wyrobienia artysty. Jest on kolorystą w każdym ze swych utworów, dążąc głównie do harmonijnej całości. W większych kompozycjach, jak w obrazie, zatytułowanym „Jawnogrzesznica”, symboliczna myśl grzechu wyrażona jest dosadnie i dobrze w plastyce się tłómaczy. „Ostatni sen zakonnic” ma dużo poezji, lubo w nieco stylowej formie. Dawniej nam znana „Chmura”, „Wiosna” i „Junona z pawiem” są czysto dekoracyjne utwory o głębszej myśli artystycznej. Najbardziej zrównoważonym obrazem, gdzie wewnętrzna myśl nie tylko że się plastycznie wypowiada, lecz wywiera silne wrażenie uczuciem swem podłożem, jest nie-

zwykle dobrze odczuty motyw psychologicznego nastroju, p. t. „Pokutnica”. Tłem jest tu jakiś klasztorny kurtyarz, tonący w półmroku szarej przezroczy; na kamiennej podłodze leży rozkrzyżowana wieśniacza postać pokutnicy. Motyw prosty, bezpretensjonalnie wybrany, szczerze i bardzo po malarsku wypowiedziany. Przykuwa on, jak moment życiowy, ujrzany gdzieś mimochodem, jak ściskający serce dramat, tem straszniejszy, że kirem tajemnicy okryty.

Doskonałe w kolorze kwiaty, portret damy, utrzymany w dyskretnym tonie półmroku, piękne wnętrza kaplicy św. Ładysława, oraz szereg studyów pejzażowych dopełniają całości. Nie sposób nie przyklasnąć artyście, który, mając w początkowej swej twórczości dzieło, zapewniające mu wybitne stanowisko we współczesnej sztuce polskiej, nie usnął na laurach, lecz wciąż rozwija się i tworzy. Iluż innych ulubieńców fortuny skończyło karierę na pierwszym szczeblu powodzenia!

Zdzisław Jasiński, jako syn malarza-dekoratora, od najwcześniejszej młodości oswajał się ze sztuką; urodził się w Warszawie w 1862 roku, uczęszczał od 1877 r. do warszawskiej szkoły rysunkowej, w 1883 r. wyjechał do Krakowa, a w parę lat później wstąpił do akademii monachijskiej. Na wystawie akademickiej w 1888 r. otrzymał duży medal srebrny za obraz „Chora matka”, wystawił go następnie w Glas-Palaście w Monachium, a w 1891 roku na wielkiej wystawie berlińskiej, gdzie mu zań przyznano medal złoty 2-ej klasy. W 1892 r. wystawia w Monachium „Nabożeństwo majowe”; obraz ten, wysłany następnie do Ameryki, przynosi artyście medal srebrny w San-Francisco, a dyplom honorowy w Chicago. Na powszechnej wystawie paryskiej w 1900 r. otrzymuje medal brązowy za „Portret” Małeckiego.

Obecnie otwarta w Towarzystwie Zachęty zbiorowa wystawa obrazów Jasińskiego, urządzonej ze smakiem, w starannym doborze wystawionych dzieł, doskonale charakteryzuje wrodzony talent i zdobytą wiedzę fachową ich twórcy.

HENRYK PIĄTKOWSKI.





CHMURA KARMICIELKA  
Z wystawy T. Z. S. P.

ZDZISŁAW JASIŃSKI

WIKTOR GOMULICKI: SPŁOWIAŁE KARTKI.

I.

Sen z jawą w dziwny wiąże się krzyż  
W kochania tajemnej dobie:  
W każdą noc prawie ty mi się śniesz,  
To ja znów marzę o tobie.

Potem, co rano, bawi nas wieść  
Z tęczowych krań marzenia —  
A może jest w niej najgłębsza treść  
Mego i twego tsinienia.

Raz rzeczywistość biorę za sen,  
I, żywa, zdasz mi się marą;  
To znów uroki wyśnionych scen  
Nad jawę przekładam szarą.

O droga! kiedyś, zasnąwszy znów  
Po bytu przelotnej chwili,  
Cali przejdziemy w krainę snów,  
Lecz — komuż będziem się śnili?...

II.

Płynie walczyk — fruwiąją spódnice...  
„Mój jedyny! wyjdźmy do ogrodu”.  
„Wieczornego zapragnęłaś chłodu?...”  
„Nie! mam zwierzyć tobie — tajemnicę.”

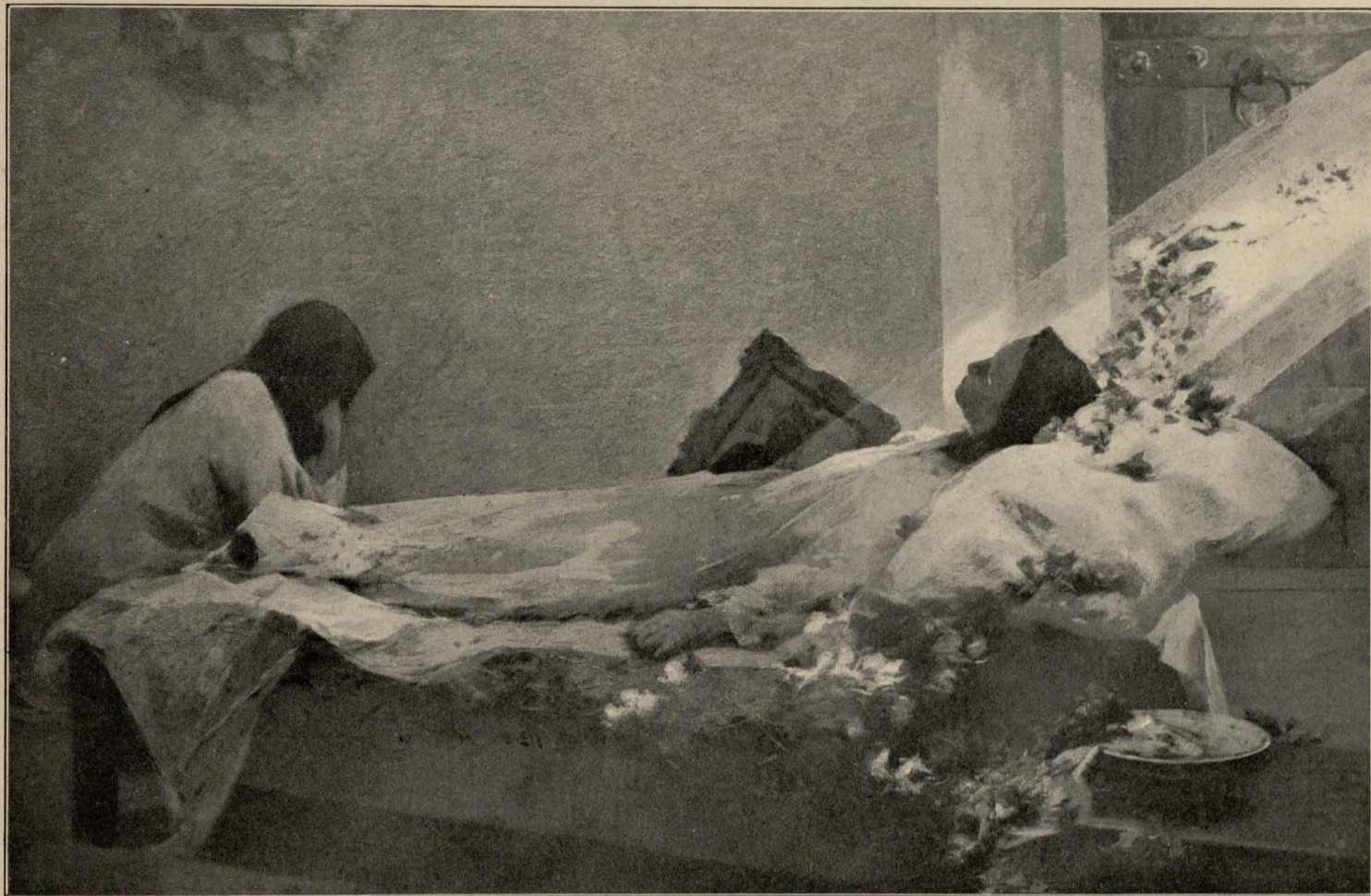
O przepastne drogich serc skrytości,  
Razem wabne i groźne, jak morze!  
Bez wzruszenia kłóż badać was może?  
W was kolebka, w was i grób miłości!...

„Wielka, wielka moja tajemnica...”  
Walczyk płynie łaskotliwą falą,  
W mroku oczy tak dziwnie się palą,  
Tak widmowo przerażają lica...

O czemś straszmem zaszepotały drzewa...  
Walczyk płynie ognistym zygzakiem...  
Pod kwitnącym, jaśminowym krzakiem  
Zmysły krzyczą, a dusza omdlewa.

Księżyc błysnął i w chmury się schował.  
„Tajemnica?... ach! dziel-że ją ze mną...”  
„Oto widzisz: miałam chęć tajemną,  
Żebyś mnie tu... o tu... pocałował!”





W CELI KLASZTORNEJ  
Z wystawy T. Z. S. P.

ZDZISŁAW JASIŃSKI

BOLESŁAW PRUS:

## PORACHUNKI.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Pan Roman Dmowski, prezes Koła polskiego w Petersburgu i jeden z wodzów narodowej demokracji, ostatecznie złożył mandat poselski, czyli usunął się od działalności politycznej. Czy jeszcze do niej powróci? czy tymczasem zajmie się kierownictwem spraw wewnętrznych społeczeństwa? pokaże przyszłość. W każdym razie z jego ustąpieniem zakończył się akt pierwszy politycznej gry obecnego pokolenia w Królestwie Polskiem.

Ani myślę za wszystko, co się stało, robić odpowiedzialnym p. Dmowskiego, choć polityk ten już stał się kozłem ofiarnym, nawet dla pewnej części swoich niedawnych stronników. Jeżeli są winy, a są niewątpliwie, spadają one najpierw na całe stronnictwo narodowo-demokratyczne, powtóre—na całe nasze społeczeństwo, a przynajmniej tę jego część, która powołana była do wybierania posłów, potrzebie—na mnóstwo okoliczności zewnętrznych, do jakich, między innymi, należy reakcja w państwie rosyjskim, niechęć „prawdziwych Rosyan” do Polaków, wpływy berlińskie i t. d. Ci, którzy bliżej znają p. Dmowskiego, twierdzą, że w swoim stronnictwie należał on do najtrzeźwiejszych i najjaśniejszych patrzących na wypadki.

Usunąwszy w ten sposób wszelkie kwestie osobiste, postaram się wypowiedzieć szczerze zdanie o naszej dotychczasowej polityce, jak zwykle, nie roszcząc najmniejszej pretensji do nieomyślności. Jeżeli będę się mylił w ocenach, poglądach i wierzeniach, błędy te łatwo

dadzą się sprostować, lecz naród w żadnym wypadku nie poniesie z nich szkody.

Dotychczasową naszą politykę w okresie konstytucji rosyjskiej można zdefiniować paroma wyrazami: na zewnątrz klęska, klęska i klęska, na wewnątrz chaos, chaos i chaos...

Nie tylko nie uzyskaliśmy jakichś specjalnych, choćby skromnych ulg dla naszej narodowości, lecz naraziliśmy się na ograniczenia, dzięki którym straciliśmy stowarzyszenie gimnastyczne Sokołów, stowarzyszenie oświatowe Macierz szkolną i uszczuplona została działalność płockiej Macierzy rolnej.

Rząd rozdrażnił nas w takim stopniu, że pozbawiono nas większej części posłów do Dumy.

W rosyjskiej opinii publicznej nie potrafiliśmy obudzić dla siebie sympatii, owszem, straciliśmy tę, jaka już rodziła się w epoce przedkonstytucyjnej.

W Dumie zniechęciliśmy partje postępowe, nie pozyskawszy partji konserwatywnych.

Z mównicy parlamentarnej nie umieliśmy korzystać w taki sposób, ażeby z jednej strony przekonać naród rosyjski, iż jesteśmy mu życzliwi, że potrafimy walczyć za „naszą i jego wolność”, i ażeby z drugiej strony—plastycznie, dobitnie przedstawić Rosji nasze ciężkie, nasze nieszczęśliwe położenie pod względem politycznym, ekonomicznym, oświatowym, wyznaniowym i narodowościowym. Rosya np. nie słyszała tego, że od pewnego czasu ulegamy najazdowi niemieckiemu od zachodu, a żydowskiemu od wschodu; jeden zaś i drugi dokonywa się intencjonalnie i systematycznie. Również nie usłyszała od nas Rosya, że np., w stosunku do ilości mieszkańców, Żydzi mają daleko więcej, bez żadnego porównania więcej, swoich szkół początko-

wych, aniżeli Polacy. Dzięki czemu prawie każdy Żyd umie czytać, pisać i rachować, czego trzy czwarte ludności polskiej nie umie. Jesteśmy więc rozbrojeni nawet w stosunkach handlowych. Pisząc to, Boże broń, nie chcę jakichś ograniczeń dla Żydów; pragnąłbym tylko większych praw do oświaty dla Polaków.

Dzięki rozdmuchiwaniam polskiego nacjonalizmu wywołano silne rozdrażnienie w sprawach: rusińskiej, litewskiej, żydowskiej, niemieckiej. Dzięki znowu nietolerancji partyjnej i polskie społeczeństwo rozdzieliło się na grupy, poprostu nienawidzące się wzajemnie.

Niesumienna, nieuczciwa polemika partyjna oszkalowała, albo steroryzowała wielu ludzi poważnych, których zdanie mogło się przydać, mogło zapobiedz niejednemu błędowi, lecz albo nie zostało wypowiedziane, albo go nie usłuchano. Bo gdzie i kiedy podniecona opinia słucha ludzi, ogłoszonych za zdrajców!...

Ostatecznym rezultatem wszystkich tych zjawisk chorobliwych jest—upadek ducha w narodzie. Najwięksi optymiści z przed lat dwu dziś już w nic nie wierzą: ani w autonomię, ani w konstytucję, ani nawet w to, że kiedyś skończą się stany wyjątkowe i powoli, stopniowo zapanują stosunki, oparte nie na samowoli biurokratycznej, ale na prawie.

Skąd pochodzi nasza zewnętrzna niemoc i rozstrój wewnętrzny? Z przyczyny bardzo napozór małej: nie umieliśmy dobrze sformułować naszych dalszych celów politycznych, nie umieliśmy postawić sobie programu na czas obecny i nie znaleźliśmy ludzi, którzy potrafiliby go wykonać, jeżeli nie w sposób genialny, o co trudno, to choćby rozsądny i przyzwoity, co jest bez porównania łatwiejsze.

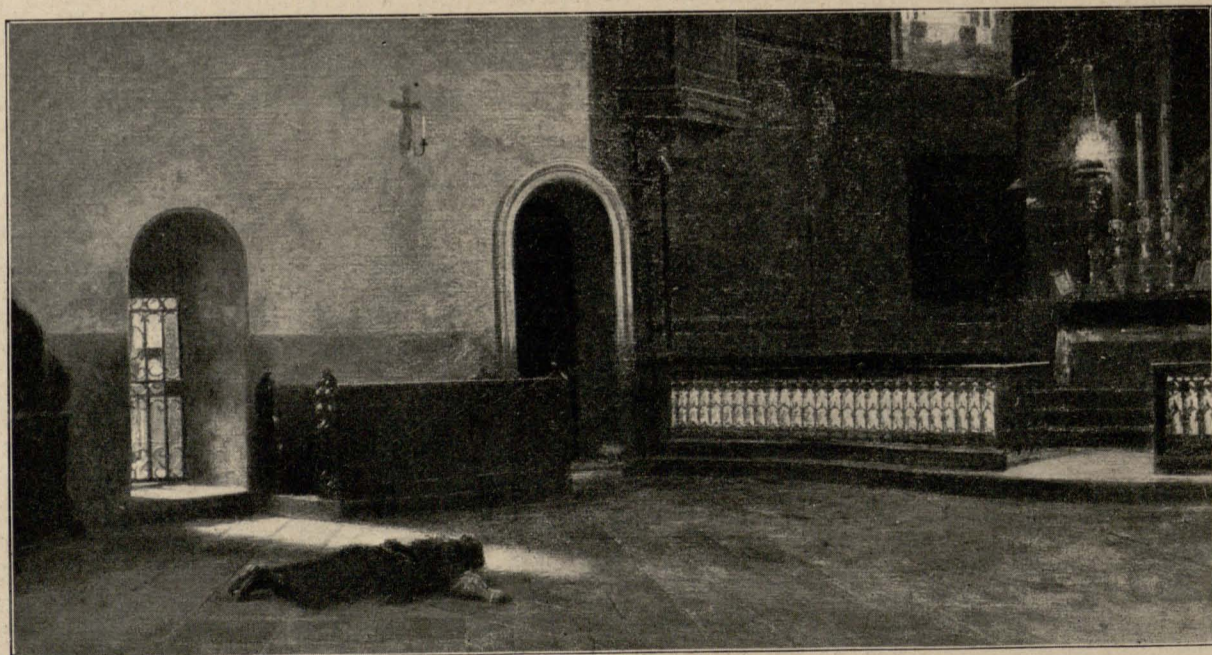
Naszym programem na dalszą metę jest





PORTRET (z wystawy T. Z. S. P.)

ZDZISŁAW JASIŃSKI



POKUTNICA (z wystawy T. Z. S. P.)

ZDZISŁAW JASIŃSKI



autonomia Królestwa Polskiego. Czy w założeniu tem tkwi coś niedorzecznego, albo przeciwpaństwowego?... Bynajmniej. Tylko autonomii polskiej nie należało opierać na kongresie wiedeńskim, o którym dziś już nikt nie pamięta, ale — na koniecznym rozwoju przyszłych wypadków.

Jakież są te wypadki?

Widzimy w Europie, że naprawdę szczęśliwymi i pokojowymi są państwa kilkumilionowe: Belgia, Dania, Holandia, Norwegia, Szwecja, Szwajcaria. I dalej widzimy, że państwa ogromne—decentralizują się, dzielą się na jednostki mniejsze, posiadające wspólny zarząd, słowem — stają się „nadpaństwami”. Stany Zjednoczone, Niemcy, Austria, poniekąd Wielka Brytania, są takimi „nadpaństwami”, których drobniejsze części składowe mają więcej lub mniej obszerną autonomię, czyli—możność rządzenia się same sobą, według własnych potrzeb, przy życzliwym poparciu wspólnego zarządu.

Otóż państwo rosyjskie jest tak olbrzymie, tak różnorodne pod względem klimatów, ludności i dojrzałości cywilizacyjnej, że, prędzej czy później—musi, musi się stać „nadpaństwem”, którego pojedyncze części będą miały rozległy, narodowy samorząd. W tym zaś rozwoju autonomia Polski będzie tylko jednym z momentów, może trochę wcześniejszych.

Czy w taki sposób nasi posłowie formułowali kwestję autonomii Królestwa? Wcale nie. Postawili ją tak, że rozdrażnili opinię rosyjską, zamiast wskazać jej nowe, piękne widnokreśli. Przecież Rosya, ze względu na ludność i obszerność terytoriów, mogłaby być szczęśliwsza od Stanów Zjednoczonych, a potężniejsza od każdego państwa europejskiego, ale—trzeba odpowiednich reform, które ludom, Rosyę zamieszkującym, dałyby istotny porządek, uczciwą swobodę, możliwość bezgranicznego oświecania się i potęgowania pracy.

Widzimy, że dalszy nasz cel polityczny: autonomia Królestwa, nie tylko został źle sformułowany, lecz w dodatku jego autorowie zapomnieli o pewnej zasadniczej prawdzie. Że każda reforma, jako całość organiczna, musi się rozwijać, rozrastać stopniowo, że, kto chce przejść tysiąc kroków, musi najpierw przejść pięćset... sto... pięćdziesiąt... trzy i dwa... A tymczasem politycy z narodowej demokracji, czy też całe stronnictwo, o prawie rozwoju i stopniowości nie dość że zapomniało, ale nawet słyszeć o niem nie chciało. Na dowód zaś opowiem nieprawdopodobną, a jednak rzeczywistą historię.

W okresie najwyższej gorączki politycznej narodowi demokraci zwołali wiec poufny w ważnej sprawie. Towarzystwo było wyborowe, ale jednostronne. Miano zaś uchwalić wniosek w sprawie wysłania do Petersburga delegacji, która prosiłaby o szkoły polskie w kraju. Według telegramu, usposobienie dla tej idei miało być dobre.

No—i zaczęły się narady, trwające prawie do rana. Przeczytano optymistyczny telegram, pogadano o szkołach polskich może kwadrans, resztę zaś czasu poświęcono takim oto kwestyom, że 1-mo w Królestwie namiestnikiem powinien być Polak, 2-do powinno być wojsko polskie i t. d. Echo tych „narad” odbiło się następnie w jednym z czasopism.

„Kiedy wychodziliśmy — mówi naoczny świadek—znużeni i rozdrażnieni, pewien lekarz, człowiek bardzo rozumny, zapytał mnie:

— Czy zaraz mam pana odwieść do Twojek, czy za parę dni?...

„Rozumiałem — mówi dalej świadek—całą

niedorzeczność, całe szaleństwo tych rozpraw, a jednak, zamiast wynieść się z dziwnego zebrania, nie tylko siedziałem prawie do końca, ale nawet zabierałem głos. Atmosfera obłędu, przez każdego mówcę podniecana i potęgowana, opanowała najtrzeźwieszich. I w ten sposób zmarnowaliśmy nie tylko kilka godzin, należnych snowi, ale bodaj czy... nie szkołę polską!”

Podobne wypadki miawały miejsce nie raz i nie dziesiątki razy. Ludzie, zamiast dyskutować o rzeczach praktycznych, pod wpływem jednostronnego kierunku politycznego, braku jakiegokolwiek krytyki, a natomiast—dzięki obfitej deklamacji, poprostu upijali się własnymi marzeniami. Były to nie narady polityczne, ale raczej posiedzenia morfinomanów. Trudno też dziwić się, że na tego rodzaju wiecach nie uradzono nic, żadnej praktycznej wskazówki dla posłów, wybierających się do Petersburga. To była kara za egoizm partyjny, za usunięcie tych wszystkich ludzi, którzy myśleli innym trybem, aniżeli narodowa demokracja.

Najpotężniejszą władzą ducha ludzkiego jest niewątpliwie — twórczość, ale twórczość porządna, naprawdę coś tworząca. Do tego jednak, obok fantazyi, potrzebna jest inna władza, mianowicie: krytycyzm, który każdy, choćby najpiękniejszy utwór fantazyi poddaje rozwadze i pyta: czy to jest prawda? czy to jest wykonalne?... czy mamy środki?... czy przedtem nie należy zrobić jeszcze czegoś innego i tak dalej.

Tej krytyki nie było i nie mogło być w jakimś „jednym” stronnictwie, gdzie mniej więcej wszyscy myślą jednakowo. Lecz krytycyzm koniecznie musiałby znaleźć się w zgromadzeniu, w którym, obok narodowych demokratów, zasiadali i postępowi demokraci i realści i socjaliści i Żydzi i Niemcy i Rusini. Zresztą, gdyby nawet ograniczyć się na kilku pierwszych grupach, czyliż przyszli posłowie, „plenipotenci narodu”, nie mieli obowiązku głęboko i obszernie obgadać program przyszłych swoich zajęć z takim Spasowiczem i Piltzem, którzy znali rosyjskie stosunki i odznaczali się chłodnym, krytycznym sądem; ze Straszewiczem, który, pomimo gorącego serca, w dyskusji z Rosyanami odznaczał się godnością i taktem; z profesorami: Holewińskim i Baranowskim, działaczami z lat sześćdziesiątych, którzy doskonale pamiętali nasze błędy, popełnione wówczas; ze Świętochowskim, który nie tylko reprezentuje stronnictwo, ale rozumie i — bardzo rozumie — wartość kultury, wartość cywilizacyjnej pracy narodu; z Kulczyckim, zdolnym publicystą i znawcą rewolucji; Suligowskim, gruntownym znawcą naszej gospodarki miejskiej i samorządu rosyjskiego; z Osuchowskim, pierwszorzędnym działaczem społecznym. Nazwiska te bynajmniej nie wyczerpują listy biegłych, których należało zawezwać do narad nad programem, nad najbliższymi zadaniami polskich posłów.

— Łatwo udzielać rad *post factum!*... — powie czytelnik. — Dlaczegoż jednak we właściwym czasie nie odzywano się z podobnymi upomnieniami?

Owszem, odzywano się, a oto próbka jednego z wielu głosów, na kilka dni przed wyborami do pierwszej Dumy.

„Zasada solidarności wymaga, ażebyśmy my, Polacy, umieli, przynajmniej chwilowo, zapominać o różnicach partyjnych, a pamiętali o fundamentalnych interesach narodowych... Sprawiedliwość domaga się nie tylko tego, ażeby żadna z mieszkających obok nas naro-

dowości nie była pokrzywdzona, ale jeszcze, ażeby każdy prąd społeczny, każda partya, miała należyty udział w wyborze posłów i dawanu im instrukcyi. Narodowcy, postępowcy, socjaliści, realści, bezpartyjni to nie wytworzy czyjejs fantazyi, ale przedstawiciele ważnych potrzeb społecznych.

„Trzecim punktem jest... godność narodu. Na miłość Boską, obywatele! pamiętajcie, że posłowie, przez was wybrani, staną wśród obcych, że muszą zabierać głos w kwestyach, stanowiących o życiu lub śmierci dla nas, że zatem posłowie ci nie mogą być ani nieukami, ani ludźmi tępych umysłów, ani pustymi deklamatorami, ani fanatykami jakiegś nacyonalistycznej czy społecznej teoryi, ale muszą być rozumnymi obywatelami, o ile można, stojącymi na poziomie europejskiej cywilizacyi. Jeżeli nie będą takimi, wówczas ośmieszą nas ich jałowe frazesy, zaprzepaszczą naszą świętą sprawę w nieuctwie i jeszcze swoim fanatyzmem przysporzą nam wrogów”.

Czytelnik sam osądzi: w jakim kierunku i w jakim stopniu sprawdziły się te ostrzeżenia. Można więc było przewidywać dzisiejsze wypadki, ale... nie chciano bawić się w przewidywania, ufało się w swoją dobrą gwiazdę...

Co robić dzisiaj?... Przedewszystkiem—cofnąć się do gruntownego porozumienia z przedstawicielami wszystkich stronnictw, do tego, co należało zrobić od początku. A co będzie dalej? zobaczymy,

TADEUSZ MICIŃSKI:

## FORTECA MARMURÓW.

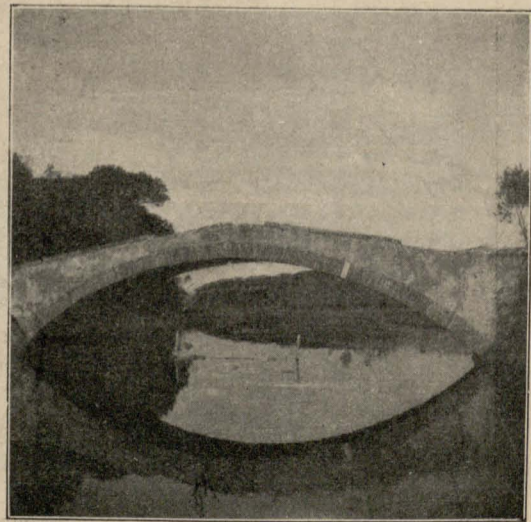
2)

My wolimy iść, dzieci zbierają do koszyka, napełnionego muszlami, iście franciszkańskie fioretti, kwiatki. Po jednej stronie drogi jest cień od laurowych żywopłotów. Brama żelazna, nie pozwalająca nic ujrzeć, rozwiera się z melancholijnym jękiem. Zakątek niebywały: winniczne pola, las piniowy gęsty, tęgi, jak nasze lasy, nad jego wspaniałą, gęstą kurniawą szafirowieją góry. Zdaje się, że to Himalaje, że tu Sziakuntala znalazła swą miłość królewską—bohatera i Joga.

Przez las idziemy chłodny, drogą zieloną, wijącą się w tem mrocznym zalesiu; przez las, pełny cierniowych krzewów Ginestry, o której Leopardi napisał poemat.

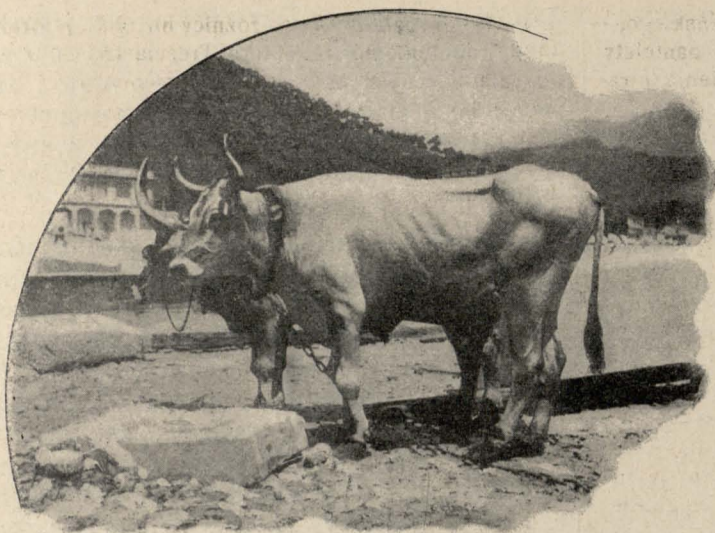
Za lasem uprawne pola; jest wiosna — maj! a pszenica kołysze się, wysoka na wzrost jeźdźca na koniu. Istna Ukraina!

Wzdłuż drogi rozwieszzone winograpy na cienkich rusztowaniach zmieniają nastrój: za temi zielonemi z ogromnych szmaragdowych liści za-



Pineta (lasek sosnowy) przy moście w Fiumetto.





Woły, transportujące marmur w Karrarze.

znaczenie. Pewien krytyk warszawski, pisząc o tęsknocie za Życiem Nowem, mienił to: „Szlakiem Absurdu”.

W Polsce obecnej jest kwarantanna à rebours: tylko zadżumieni w naszej zatęchłej atmosferze mają przywilej komunikować się z narodem.

Oni wzięli sobie przywilej na rozum, na jasność stylu, na uczucia obywatelskie... i wśród tłuszczy ciemnej wyją na Iśnienia Gwiazd, zaiste zbyt obojętnych dla wszelkiego Grynderstwa.

Na polach, zaorywanych przez woły ogromne, siwe, Rafaeliczne, dziewczki wylewały nawóz płynny czerpakami w jamy, gdzie miał wykwitnąć winograd.

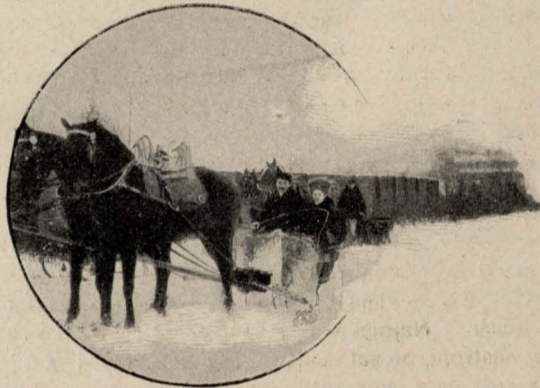
Wtedy nie myślałem tylko o pięknie malarskiem, nadzwyczajnym zresztą: interesował mnie rozum, który prowadzi wielkie siwe zwierzę pod jarzmem, rozum, który nakazuje tym nie myślącym, ślicznym dziewczkom i ratajom, o twarzach wykutych, jak z bronzu, czynić rzeczy mądre, t. j. twórcze.

(DN)

Wtedy nie myślałem tylko o pięknie malarskiem, nadzwyczajnym zresztą: interesował mnie rozum, który prowadzi wielkie siwe zwierzę pod jarzmem, rozum, który nakazuje tym nie myślącym, ślicznym dziewczkom i ratajom, o twarzach wykutych, jak z bronzu, czynić rzeczy mądre, t. j. twórcze.

## „Wieś“ w Warszawie.

Z CYKLU: „WIEŚ”.



Latem mówi się: „ogorzałe twarze”, zimą prosto: „wieś” tylko.

Zresztą jest i zasadnicza różnica w samym nazwaniu. „Ogorzałe twarze” to wyłącznie chwilowi goście Warszawy, przybyli ze wsi dla jarmarku wełnianego, trochę dla porady lekarskiej z żonami, trochę z córami na „zielony karnawał”; tymczasem zimowa nazwa „wieś” ma dwa pododziały, dwie kategorie.

Kategoria pierwsza, wykupująca t. zw. „karty pobytu”, to „wieś”, spędzająca całą zimę w Warszawie, kategoria druga, „hotelowa”—bawiąca tu tylko czasowo w różnych celach.

Więc w celu ekonomicznym (posiedzenia Cent. Tow. Rolniczego, narady gorzelnicze, Tow.

emerytalne pracowników rolnych), naukowym (kursy rolnicze) i małżeńsko-hipotecznym.

Ostatnia grupa bodaj że najliczniejsza jest w obecnym karnawale, odznaczającym się niepomierzą podażą różnych zabaw dobroczynnych, prócz innych sportów, do których świeżo przybyły „góry lodowe” na Agrikoli...

Obecnie bardzo dużo mówi się o granicach etnograficznych”. Wynałazłem zgoła nowy (jeszcze nie opatentowany) system etnograficznego sprawdzianu: taniec.

Prostu: przyjrzyj się, jak kto tańczy, a będziesz wiedział, skąd jest. Każda strona ma taniec, w którym uwydatnia swoje etnograficzne właściwości. Mazura najlepiej tańczą, oczywista, Mazury, ale bodaj czy nie lepiej jeszcze moi współpatrioty od Jędrzejowa, Miechowa, Proszowic—Krakowiacy.

Przedewszystkiem, umieją patrzeć w czarne i modre ślepki, jak nikt!

Weźmie taki „dziewuchę”, obejmie w pól, przytupnie, a w największym wirze hołupców nie spuszcza z oka. Drzazgi lecą z podłogi! a on patrzy i patrzy! w głąb duszy patrzy! Takiemu „przepióreczka nie ucieknie w proso”...

W walcu największy sentyment ma „wieś” od Kalisza, Kutna, Koła, kujawskie strony. Ale czasami wśród największej rzewności tonów zagrmi ni stąd, ni zowąd wyrwasowe „rachciach ciach ciach”... Zakłębuje... zatoczy...

A co tam wtedy serce sercu szepce, to jeno sercom wiadomo.

Lubelskie—to flirciarze zawołani. Kontredans, kadryl, tańce suwane... w to im graj! I drobna rączka, i różowe uszko w robocie! Powodzenie mają, bo u nas od lat kilku w ogóle „oratorstwo” w cenie.

Hrubieszowskie, prócz lubelskiej cnoty, posiada nadto pewną wytrwałość w tańcu. Jak sobie pannę upatrzy, to nie popuści do „białego”! Wytrwały naród.

Podobny rys charakteru mają „boćwinkowie”. Zrazu do tańca nie skorzy, do karnetów się nie kwapią, nie gryzmołają... Ale gdy takiego z pod Oszmiany, Borysowa, lub Nowogródka już co weźmie... to mu się tylko bure oczy zaiskrzą—i wtedy... hajda! Będzie tańczył do upadłego, wszystko jedno, co grają, byle z nią, byle z „oną” wybraną! Jenó się przy bufecie od czasu do czasu pokrzepi i wywija a wywija! Elegancyi wielkiej nie ma, ale ochota za dziesięć!

Tak mi się przedstawia w zarysie charakter etnograficzny w tańcu. Oczywiście, jak wszędzie, tak i tu muszą być wyjątki i pewne niedostrzegalne dla zwykłego widza szczegóły i szczegółiki. A że „nic wogóle, wszystko w szczegółole”, jak powiada Weysenhoff w „Podfilipskim”, przeto po bliższe informacje odsyłam ciekawych do... pięknych czytelniczek *Tygodnika Ilustrowanego*.

Bardzobym był rad, gdyby moje ogólne spostrzeżenia znalazły „szczegółowe” potwierdzenia na... kobiercu.

K. LASKOWSKI.

słonami, wyczuwa się faunów, bogini Demeter idzie tu ze swą córką Korą, która opowiada, co w podziemiach przeżyła...

Rzeczka wśród łąk i lasów wiję się bronzowa, jakby Świder—lecz te lotusy różane, te żółte irysy, czarne świątynne pagody pinii—jest to inny, już szczęśliwszy—wspanialszy, niż Polska, świat!

Czy jest coś delikatniejszego, niż drzewko kwitnącej brzoskwini różanej na tle groźnego morza? Jaka moc pyszni się w tych magnoliach o listowiu z laki japońskiej—wielkim, Iśniącym i twardym, z roztruchaniami kwiatów półgarnkowych, przesyconych ambrozją bogów!... Ta woń doprowadza do szaleństwa... Krążyła ona nad sarkofagiem Romea i Julii, gdy pławili się w swej krwi z serca... przy spokojnych ustach.

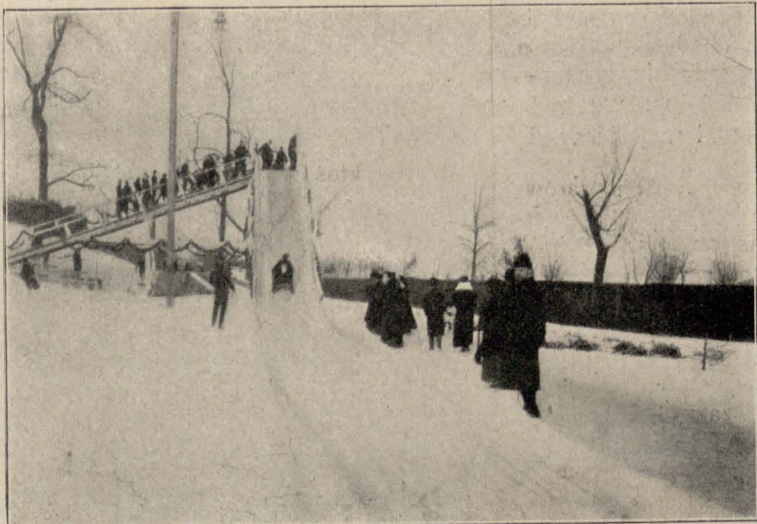
Błądziłem po gajach topól srebrnych, tak delikatnych, a tak przedziwnie potężnych (znaczenie z obrazów Böcklina!).

Zapadałem twarzą w gąszcz paproci, tworzących wstęgi zrosłe; budziłem w sobie miłość dla ziemi całej—nie tę powietniczą i niby patryotyczną, bo cnota patryotyzmu jest też krata i koszem blaszanym, które nie pozwalają więźniom na Pawiaku polskiego ducha oglądać nadchmurnych przestrzeni.

W lesie uwijały się dokoła mnie jaszczurki zielone, bystre, jak błyskawice, ja, nago siedząc wśród rannego słońca, zagłębiałem się w indyjskiej Jodze.

I tyle mam do zawdzięczenia niezmiernej czystości powietrza, rumakom świtów Apollinowych, paprociom miłośniczym, ciszy niezmaconej! Tu nie był tylko epos nadmorskiej radości: tu plątały się dramaty i metafizyka, tu wulkanity się wielkie zagadnienia Człowieczego Bytu: wszakże najistotniej zajmował mnie tylko problemat Człowieka, w oświetleniu swej Pramacierzy, t. j. Morza.

Współcześni Polacy nie rozumieją życia potężniejszego, nie zgłębiają, czym jest Morze,—to Morze każdego, kto uczył Nieskończoność i Prze-



SPORT SANECZKOWY NA AGRICOLI.



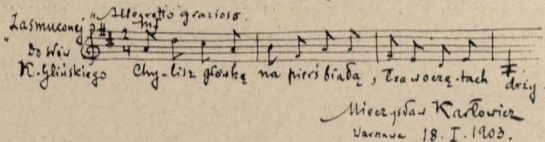
ANTONI SYGIETYŃSKI:

## MIECZYŚLAW KARŁOWICZ.

„Pod północną turnią Małego Kościelca, w drodze z Zakopanego do Czarnego Stawu, zaspany lawiną śnieżną, zginął Mieczysław Karłowicz”. Oto słowa lakoniczne depechy, brzmiące rozpacznie, jak złowroga melopeja tragedii, raczej wymyślonej przez wyobraźnię złośliwą, niż wyjętej z życia. A jednak śmierć tego przedwcześnie,



MIECZYŚLAW KARŁOWICZ.



bo w 33 roku życia zgasł muzyka, jest faktem. Pociągnięty czarem tajemniczym gór, spowitych w całun niepokalanie czystego śniegu, puścił się sam na wycieczkę turystyczną, może dla nabrania powietrza wielkiej przestrzeni w wątle swe piersi, może dla wzmocnienia skrzydeł panteistycznej swej wyobraźni, i namiętność szukania, nie poezji, bo jej tam niema, ale podnieć silnych i wrażeń wstrząsających, przypłacił życiem. Ani w widokach gór, ani w widokach morza, ani w widokach nieba czy ziemi niema poezji: człowiek ją ze swoją duszą indywidualną w nie wnosi.

Ś. p. Mieczysław Karłowicz, upojony otoczeniem wielkiej, acz wrogiej człowiekowi natury, lubował się tem tchnieniem śmierci, wiejącem od Tatr zamarzłych i zamartwych zimą, i coraz to wybiegał naprzeciw niemu, wierząc, a może i czując, iż ono to właśnie „napętnia mu duszę łagodnym światłem i, sięgając do głębin, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych, goi, prostuje i wyrównywa”. Ale bo też „godziny, przeżyte w tej półświadomości, są dlań jakby chwilowym powrotem do *niebytu*: dają one spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu”. Oto słowa ś. p. Mieczysława Karłowicza, pisane przed rokiem z Za-

kopanego do przyjaciela, p. Henryka Opieńskiego, — słowa, godne jakiegoś buddysty i zarazem panteisty, słowa, w których zgoła nie czuć pragnienia i radości życia.

Zaiste, niezbadane są przyczyny ran śmiertelnych duszy ludzkiej!

Ś. p. Mieczysław Karłowicz, urodzony d. 11 grudnia r. 1875 w Wiszniewie na Litwie, syn Jana, znakomitego uczonego i zarazem utalentowanego muzyka, i Ireny z Sulistrowskich, w zaraniu już życia objawiał chęć nieprzpartą i zdolności do muzyki. Jako dziecko jeszcze, uprawiał grę skrzypcową, którą studiował kolejno w Heidelbergu, Pradze Czeskiej i Dreźnie, a następnie w Warszawie pod kierunkiem Barcewicza. Niezadowolony jednak efektami sztuki wirtuozowskiej, wcześniej przerzucił się na drogę teorii, której tajniki badał przez czas pewien przy pomocy Roguskiego i Noskowskiego, a następnie pogłębiał w ciągu lat czterech, od r. 1891 do r. 1895, pod kierunkiem wytrawnego pedagoga muzycznego, Urbana w Berlinie, gdzie też w tym czasie na uniwersytecie ukończył kurs filozofii i historii muzyki.

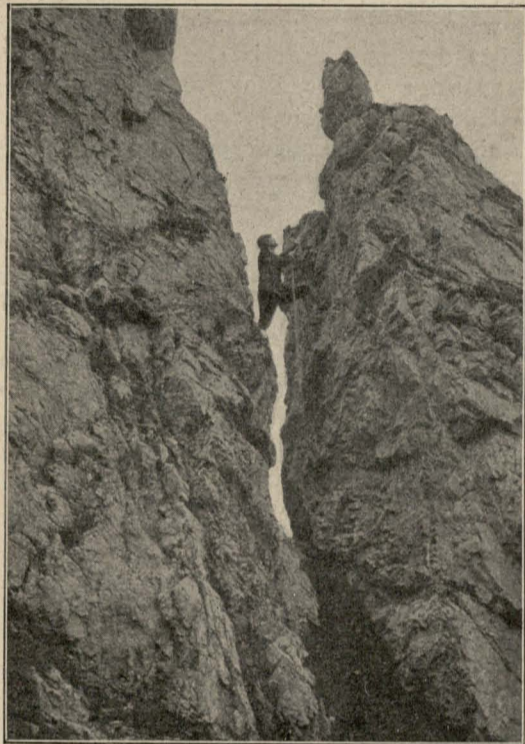
Zdawałoby się, iż, niezależny materialnie, wykształcony wszechstronnie i utalentowany muzycznie, zabyłszy odrazu w zakresie umiłowanej swej sztuki. Zdawałoby się, iż z tej piersi, przepojonej szczęściem życia, wśród dostatku i ciepła serdecznego kochającej i kochanej rodziny, wypłyne pieśń radości, porwie się okrzyk wesela, wykipi burza namiętności!.

Gdzież tam! Pierwsze „Pieśni” jego są nikłe, chwiejne w wyrazie, zgoła nie namiętne, a jeśli i są między nimi harmonicznymi barwne, to pochod akordów, nastrój tej harmonii, jak np. w pieśni do słów Heinego w tłumaczeniu Konopnickiej: „Śpi w blaskach nocy”, mocno przypomina manierę Griega. A przytem zawsze i wszędzie jakiś smutek, jakaś melancholia cierpka, jakiś jęk duszy, która żali się jeno i szuka ukojenia, może „w powrocie do *niebytu*”, może „w wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu!” Z ogólnej liczby kilkunastu pieśni, zalewaj, jedna do słów Asnyka: „Najpiękniejsze piosnki”, jest weselsza w nastroju, bo zatracająca o rytm krakowiaka. Poza tem cała twórczość jego przejęta jest jakąś tęsknotą beznadziejną, bo nawet *Romanza* w „Koncercie skrzypcowym” (op. 8), w której czuć już śmiałą rękę w zatoczeniu wielkiego, szeroko pojętego frazesu, rozpoczyna się zgrzytliwym pochodem dysonansowych akordów.

I nie inny jest nastrój w utworach symfonicznych, które niezawodnie byłyby się stały wyrazem właściwym twórczości ś. p. Mieczysława Karłowicza. Co prawda, zarówno w założeniu, jak w technice kompozytorskiej, jak wreszcie w świetnych efektach instrumentacji, czuć wpływ Ryszarda Straussa—lecz po pierwsze, któryż z młodych naszych kompozytorów dzisiejszych nie jest pod wpływem Straussa, a powtóre, komuż bardziej, niż ś. p. Karłowiczowi, zbolełemu od natury i przejętemu najwidoczniej, jak ze słów jego widać, filozofią Nietzschego, mógł przypadać nie tylko do usposobienia, ale i do ręki, sposób techniczny nowoczesnego mistrza niemieckiego?

Bądź jak bądź jednak, w twórczości ś. p. Karłowicza, wskroś refleksyjnej i opartej na znajomości środków technicznych, dokonywał się stały postęp, zarówno w rozszerzeniu pierwiastków sztuki kompozytorskiej, motywów płynniejszych i rytmiki bardziej urozmaiconej, jak i wyrazu indywidualnego. Od pierwszych dzieł tego zakresu (Wstęp do „Białej gołąbki” Nowińskiego, „Powracające fale”, „Stanisław i Anna Oświęcimowie”) do ostatnich („Odwieczna pieśń” i „Smutna opo-

wieść”) jest cała przepaść różnicy nie tylko w formie, ale i w pogłębieniu charakteru. Treścią ich jest wciąż to samo uczucie, ta sama myśl—melancholia, tęsknota, ból, których najserdeczniejszym wyrazem jest krzyk zranionej duszy, duszy, czy to broniącej się instynktownie przed śmiercią samobójczą, jak w łabędzim śpiewie: „Smutna opowieść”, czy też pożądaną jej namiętnie, jak w „Pieśniach odwiecznych” („O wiekuistej tęsknocie”, „O miłości i śmierci”, „O wszechbycie”), w których nastrój, pierwotnie smutny i ponury, przemienia się stop-

Na Suchym Wirchu.  
Z wycieczek Karłowicza w Zakopanem.

niowo w jakiś hymn potężny, w tryumf „wszechbytu”, a tym jest „rozplnięcie się w wszechistnieniu”—śmierć!

Tak—ale ten młody muzyk i poeta wszechbytu miał duszę, i to duszę wrażliwą i piękną, która niezawodnie z biegiem czasu, wyzwalając się ostatecznie z pęt szkoły i mody, byłaby, na chlubę narodu i sztuki narodowej, stała się wskroś indywidualną. Cześć jej na wieczną pamięć, która i tak, przy tym jego dorobku kilkunastu zaledwie utworów, nie zaginie!



## NIECH UMRE...

Niech umrę... smuci mię to mało...  
Lecz strachu duch nie może skryć,  
Żeby i śmierci się nie chciało  
Krzywdzącym żartem ze mnie drwić...

Drzę, by nad moim trupem chłodnym  
Gorące nie spłynęły łzy—  
By ktoś w zapale głupim, zwodnym  
Na grób nie przyniósł kwiatów mi...

Aby życzliwą zgrają tłumną  
Przyjaciół moich nie szedł rój,  
Aby, od ludzi skryty trumną,  
Trup nie był komuś drogim mój...

By wszystko, czegom pragnął chciwie  
I tak daremnie, kiedym żył,  
Nie uśmiechnęło się szczęśliwie,  
Gdy mię cmentarny skryje pył...

Tłom. z DOBROLUBOWA

LILIANA

M. Karłowicz na „nartach” (ski).  
Z ostatnich dni Karłowicza w Zakopanem.



HENRYK MOŚCICKI:

## OSTATNI TUŁACZE.

Zdała od zgiełku bulwarów, w najstarszej dzielnicy Paryża znajduje się skromny gmach z niepokaźnym napisem: *Bibliothèque polonaise*, jedna z nielicznych już dziś instytucji polskich na obczyźnie, dźwignięta ofiarną zabiegliwością kilku jednostek, co pragnęły zachować narodowi widomy znak pogromowej doli tułaczkiej, ocalić dla potomności duchową spuściznę oderwanych od ziemi ojczystej pielgrzymów. W „Bibliotece polskiej” zgromadzono wszystkie niemal druki emigracyjne, w archiwum złożono setki rękopiśmiennych materiałów, po dziś dzień należycie jeszcze nie wyzyskanych. Do najcenniejszych dzieł w księżnicy należy jedyne w swoim rodzaju muzeum Mickiewicza. Stróżem tych skarbów, pieczołowitym ich opiekunem i szczodrym pomnożycielem jest syn nieśmiertelnego wieszczka, p. Władysław Mickiewicz.



Michał Szweycer.

Wychowany w najlepszych tradycjach ojczystych, od najmłodszych lat przeniknięty duchem szczerego patryotyzmu, żył się z emigracją, widział jej dolę i niedolę, nadzieje i zawody; jako redaktor genewskiego czasopisma *l'Espérance*, a następnie współpracownik dziennika *Opinion*, poznał życie polityczne ówczesnej Francji, jako syn genialnego wieszczka, miał łatwość nawiązania bliższych stosunków z najwybitniejszymi obrońcami sprawy wolności: Garibaldiem, Mazzinim, Hercenem, Bakuninem. Życie Władysława Mickiewicza—to kawał dziejów emigracji. Opisał je w swojej książce - pamiętniku: „Emigracja polska 1860—1890”.

Książka bolesna, szarpiąca sercem, choć w tonie spokojnym i beznamietnym pisana. Autor prowadzi myśl czującego czytelnika do wspomnień niedawnej, a tak mglistej jeszcze dla dzisiejszego pokolenia przeszłości. Niema tam błysków cudownego bohaterstwa, nie słychać rozgwaru obozowisk, ni szumu sztandarów. Jest jakieś oczekiwanie garstki epigonów wychodźstwa z listopadowego pogromu, czuć przyspieszenie pulsu życia emigracyjnego w przedmnie nawałnicy styczniowej, brak już tężyzny serc i duchów, co promienną kolumną świecili tułaczom w pierwszych latach porewolucyjnych. Niema wprawdzie tamtych romantycznych uniesień, pchających do beznadziejnego boju Zaliwskich, Wołłowiczów, Konarskich, lecz zabrakło i księcia Adama, stygnącą ręką spisującego swój narodowy testament, braknie wielkiej trójcy poetyckiej, karmiącej pokolenie „mlekiem i miodem i krwią duchową”. Schodziła do grobu plejada

proroczych duchów, przekazując żyjącym promienną skargę, miłość, spotęgowaną cierpieniem, wreszcie owiany mgłami mistycyzmu obraz przyszłości. To była poezja. Wielka, nieśmiertelna, niezniszczalna w sferze duchowego życia narodu, bezpłodna jednak, często szkodliwa w chwili zerwania się do czynu.

A kraj czekał na hasło od emigracji. „Polska miała wysokie o niej wyobrażenie, przypuszczała po pierwszych manifestacjach warszawskich, że wychodźstwo oświeci dalszą jej drogę”. Rozbita na dwa wrogie obozy: Czartoryskiego (syna księcia Adama) i Mierosławskiego—wiodła emigracja bezustanne spory o moralne przodownictwo w kraju, gdzie szalał pożar i gromy waliły w skołatana nawę.

Niepohamowana ambicja Mierosławskiego, ustawiczne rozterki wśród „reprezentacji zagranicznej Polski”, za jaką wychodźstwo się uważało, utrudniały wielce akcję powstańczą. Wyprawa morską, zorganizowaną przez agenta Rządu Narodowego, Józefa Ćwierczakiewicza, w celu poparcia ruchu na Litwie, zakończyła się jak najniefortunniej skutkiem nieudolności, a poniekąd i złej woli kierowników. Wybór ks. Władysława Czartoryskiego na przedstawiciela Polski zagranicą i jednoczesne ofiarowanie dyktatury Mierosławskiemu był to błąd nie do darowania ze strony Rządu Narodowego, który w ten sposób przez powołanie do pomocy najsprzeczniejszych żywiołów uniemożliwił wszelką działalność polityczną zarówno jednego, jak i drugiego obozu.

Po bezowocnych paroletnich zabiegach na samym schyłku powstania książę Władysław Czartoryski usuwa się ze stanowiska pełnomocnika Rządu. Na jego miejsce komisarzem zostaje książę Adam Sapieha, jednocześnie tworzą się różne mniej lub więcej samowładne władze o najrozmaitszych tytułach. „Odmet—czytamy w jednym z pism ówczesnych—doszedł do tego stopnia, iż liczono aż dwanaście różnych komitetów, komisjów, konsulatów, agencji”. Ks. Sapieha, przekonawszy się wrychle, „że środki działania, które w czasie walki były dogodne, a nawet właściwe, dzisiaj już służyć nie mogą”, ustąpił. Dnia 12 lipca 1864 r. mianowano reprezentantami Polski poza granicami kraju Jana Kurzyńkę i Aleksandra Guttrego. Członkowie Rządu Narodowego zginęli, nieudatne próby wskrzeszenia tego rządu zagranicą powtarzały się prawie do wybuchu wojny prusko-francuskiej. Przemijający ci dyktatorzy cię tylko władzy dzierżyli w swoich rękach, nie pozostawili też w dziejach żadnego śladu prócz pustych odezwo-

opatrzonych pieczętką byłego Rządu Narodowego...

Jeden tylko Mierosławski dalej urzędował. Był dni kilka dyktatorem—i za takiego uważał się aż do śmierci. Maniak rewolucyjny, najniezdarniejszy wódz, wieczny kandydat do najpierwszych godności, urodzony warchoł i najszkodliwszy polityk, paradoksalny, choć nie bez *sui generis* talentu pisarza, poeta, podpisujący swe rymowane elukubracje, przeróżne „Żelazne Maryny”, „Pugaczewy” i t. p. dosadnym pseudonimem *Szuja*, trybun, w przesadnie deklamacyjnym stylu prawiący o „cudzołóstwie zórz borealnych z aptekarstwem paryskim”, „o gęśli, napiętej kiszka mi ojca i matki”, i o „Bogu straszliwym z brodą rozczochraną od nadyru do zenitu”—takim był przywódca pewnego odłamu emigracji z lat 1832—1854, bożyszcze garści młodzieży, co widziała w Mierosławskim jedyne go wybawiciela Ojczyzny. Teraz, po roku 1863, odstąpili go prawie wszyscy. Nie wróciły mu popularności parokrotne jeszcze wystąpienia publiczne, na których miotał przeciwnikom obelgi, a o sobie mówił, iż „jednomysłne... kreski związku krajowego przypisały się na ślepo do tej przedpłatnej słynności i uzbroiły go palcem, co to wywołuje rządy powstańcze z grobów jagiellońskich, zatrzymuje indeks niewoli na zegarze przeznaczenia i dowolnie przekwita na dyktatorską buławę lub na cyprys wszechmentarny”.

Przegrana wyrzuca na bruk paryski nowe zastępy tułaczy. Zawiązują się komitety pomocy francuskie i polskie. Myśl jednak powrotu do kraju i nadzieja pomyślnego obrotu spraw politycznych nie wygasa wśród emigrantów. Snuto w dalszym ciągu fantastyczne projekty, układano nieziszczalne plany. Projekt masowego wyjazdu emigrantów do Ameryki i „swobodnego tam w duchu narodowym rozwijania”, rzucony przez generała Waligórskiego, nie znajduje posłuchu. Wychodźstwo nie rezygnuje jeszcze z odegrania roli politycznej, i dlatego opuszczenie Europy uważane jest za zdradę sprawy.

W r. 1867 silnie porusza całą emigracją odbywający się ówczesnie kongres wszechsłowiański w Moskwie, oraz dokonany w tymże roku przez Polaka, Berezowskiego, zamach na przebywającego podczas wystawy powszechnej w Paryżu cesarza Aleksandra II.

Podczas wojny francusko-pruskiej projektowano utworzenie legionu polskiego, rząd jednak Napoleona III odrzuca tę propozycję. Dopiero w szeregach Komuny widzimy liczniejsze zastępy naszych tułaczy. Na czoło wysuwają się Jarostaw Dąbrowski i Walery Wróblewski. Tam okrutniej mszczą się Wersalczycy po wzięciu Paryża. Tajne rozkazy Thiersa zalecały szczególnie surowe obchodzenie się z Polakami. Bez sądu rozstrzelano Rozwadowskiego, Michała Szweycera (belwederczyka), Lewickiego, Konstantego Dalewskiego i wielu innych. Oszczercze ataki, miotane przez prasę francuską na emigrację za udział w Komunie, musiano odpierać w memoriale do Zgromadzenia Narodowego, opatrzonym podpisami najpoważniejszych przedstawi-



Jan hr. Działyński, prezes Stow. pomocy naukowej.



Adamina Kamińska, pierwsza prezesowa Tow. im. Klaudyi Potockiej.



Józef Ćwierczakiewicz.





Berezewski.

cieli wychodźstwa.

Rola polityczna emigracji polskiej była skończona. Kadry jej wątleją z każdym rokiem, z całego szeregu instytucji pozostaje ledwie kilka...

Narody wolne nie znają masowego wychodźstwa o charakterze politycznym. To jest klątwa narodów podbitych. Wychodź-

two polskie wiele popełniło błędów i zbroczeń, emigracja polistopadowa jedną tylko krajowi niespożyta zostawiła spuściznę — wielką, nieśmiertelną nigdy poezję. A cechą wszystkich emigracji naszych, cechą, górującą nad inne i niezaprzeczną jest szczerą, gorącą, ofiarną miłość Ojczyzny.

Zamikły po r. 1863 lutnie poetów, powstanie styczniowe nie znalazło piewców, nie wydało, jak wojna 1831 r., wieszczów, porywających serca: literatura emigracyjna tej epoki jest bezbarwna, obfitująca we frazesy, bez cienia prawdziwego natchnienia i ducha zapładniającej siły. Życie emigracji ujawnia się w stowarzyszeniach i pismach. Powstają jak grzyby po deszczu



Jarosław Dąbrowski.

przeróżne instytucje filantropijne, naukowe, wychowawcze; mnożą się czasopisma mniej lub więcej długotrwałe; wraz ze schodzącym do grobu wychodźstwem nikną i te ostatnie ślady działalności społecznej, literackiej i politycznej tułaczy polskich na obczyźnie. Ostatnia emigracja polska należy już do przeszłości.

## CO PRZYNOŚI WIEDZA I TECHNIKA?

„Historia przyszłości” Mickiewicza. — Wiedza żywa i technika. — Perpetuum mobile. — Homunculus. — Androidy Droza. — Pisarz, flecista. — Szachista Vaucanson'e'a.

„W tych czasach (1829) zajęty był Mickiewicz pisaniem osobliwego dzieła p. t.: *Historia przyszłości*, pisze je zaś po francusku i ma już napisanych przeszło 30 arkuszy. Opowiadanie zaczyna się już od roku 2,000 i ma obejmować dwa wieki. Po ogólnym poglądzie na ówczesny stan świata, a mianowicie Europy, następuje opis jej przygotowań i narad sejmowych, wobec grożącej napaści Chińczyków, która przychodzi w końcu do skutku. Bitwa, stoczona przez same kobiety i nieco dwudziestoletnich młodzieńców, pod wodzą bohaterki z nad Wisły, kończy już napisany okres.

„Cała zaś ta historia, jak mi mówił Adam, kończyć się ma na wejściu ziemi w stosunki z planetami, a to za pomocą balonów, które wówczas tak mają żeglować po powietrzu, jak dziś okręty po morzu — cała zaś ziemia ma być pokryta siecią kolei żelaznych, które, jak wiesz, budują już w Ameryce i zaczynają na próbę budować w Anglii, a którym Adam ogromną przepowiada przyszłość, twierdząc, że postać świata przemienia.

„A cóż dopiero mówić o cudach przemysłu, wynalazkach i odkryciach, które już są opisane w Poglądzie!

„Jest to świat z Tysiąca nocy i jednej, a wszystko tak poetyckie, tak cudowne, a przytem tak naporząd prawdopodobne, że i pragniesz, żeby tak było, i wierzysz, że tak być może. Boję się dotykać szczegółów, bo czuję, iżbym dzisiaj nie skończył.

„Ale jak nie powiedzieć choć słówka o całych flotach skrzydlatych balonów, latających w powietrzu, jak żorawie lub gęsi? O całych miastach domów i sklepów, budowanych z żelaza, na kołach, a pędzących po kolejach żelaznych ze wszech stron ładu na wielki jarmark pod Lizboną, dokąd znowu ocean w olbrzymich okrętach przynosi plody innych części świata?

„Jak nie wspomnieć o archimedesowych zwierciadłach, ustawionych na ogromnych przestrzeniach w ten sposób, że ogniste litery, odbite w pierwszym, w oka mgnieniu odbijają się w ostatnim? O teleskopach, przez które z balonu można całą ziemię obejrzeć, a z ziemi widać, co się dzieje na jej satelitach? O akustycznych urządzeniach, za pomocą których, siedząc spokojnie przy kominku w hotelach, można słuchać dawanych w mieście koncertów, lub wykładów lekcji publicznych i t. d.

„I wszystko to opisane tak prosto, tak naturalnie, jakby w tem nic nadzwyczajnego nie było. I Adam też seryo utrzymuje, że „to wszystko być kiedyś może i musi”.

I czyż nie przeczuł proroczy duch poety mającą się wcielić rzeczywistość „świata cudów techniki” 100 lat naprzód.

Dziś mija lat 80 od tego czasu, a istnieją już fabryki latawców (aeroplany Delagrang'e'a, Farmana-Wrighta), siecią kolei pokryta kula ziemiska, abonenci telefonu „Hirmondo” (Budapeszt) nie



„PISARZ” (ANDROID DROZA).

czytają, lecz słuchają, recytowania wszelkich zdarzeń i kroniki pism codziennych, wieczorem zaś, spoczywając w szezlongu, mogą rozkoszować się pięknem muzyki lub śpiewem (opera-koncert), lub słuchać prelekcyj. A domy z żelaza, a teleskopy, parowce... wszystko stało się ciałem, co wizya poety 80 lat temu obwieściła.

Słowacki w *Genezis z ducha* dał nam poetyczną wizję wspaniałej teorii „ewolucji jestestw żyjących”.

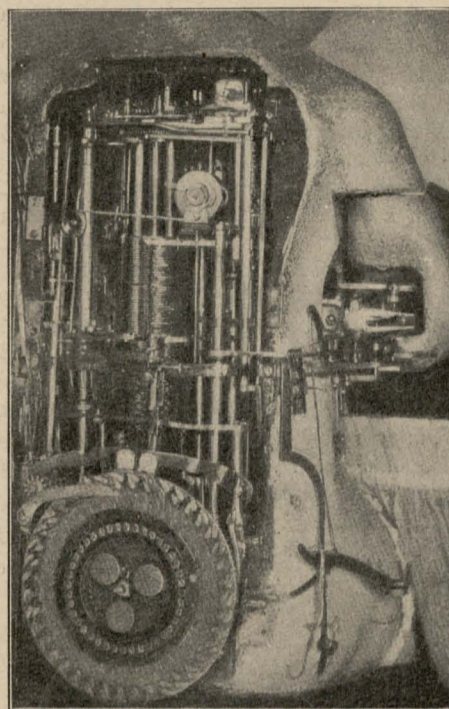
Dwaj najwięksi poeci przeczuli — tak orzec

*Es lebe die Stadt  
Abrecht Duerers.*

PRÓBA PISMA „PISARZA”.

możnaby nawet — nowoczesny fundament wiedzy przyrodniczej i tryumfujący postęp techniki!

Wiedza przyrodnicza — poznanie „żywego świata Bożego”, tętniącego pełnią sił, i poznanie mo-

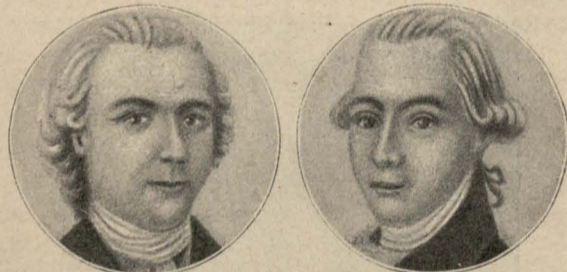


MASZYNA UKRYTA.

cy, potęgi materialno-twórczej człowieka, kształtującej istoty, potęgi pracy i nowoczesnej techniki, to fundament bytu narodu. Człowiek bowiem należy i do świata przyrody, z którego powstał, i świata społecznego, który sam wytworzył, w którym kształtuje płomienne pragnienia duszy.

Były czasy, w których duch twórczy, rwany żądzą poznania i naśladowania przyrody żywej, wysilał się na genialne konstrukcje *perpetuum mobile*, *homunculusa* (sztuczny człowiek).

Mechanicy XVIII wieku konstruowali zespo-



PIOTR I HENRYK DROZOWIE, GENIALNI MECHANICY.

ły automatyczne, naśladowujące żywe istoty, zasłynęli bracia Drozowie, Vaucanson, Mälzel i inni.

A warto poznać te cuda mechaniki z owych czasów...

Android (sztuczny człowiek) Droza, nazwany „pisarzem”, była to figura wielkości dziecka w pozycji siedzącej.

Piéro macza w kałamarzu i pisze na zeszycie prędko, płynnie, pismem wyraźnym wszystko, co mu się podyktuje, słowa, zdania etc. Gdy skończy jeden wiersz, zaczyna, w równych odstępach, następny...

Słynny uczonec Bernouilli pisał: „mechanizm tego automatu jest wprost zagadkowy, nie tylko dlatego, że pisze po niemiecku, ale, jeśli się podyktowało wyraz mylny i każe zmienić, urywa mylne słowo i pisze nowe. Naturalnie, wszystko to, co automat pisze, musi być przedtem ustawione na tarczy wewnątrz mechanizmu.

Inkwizycya w Madrycie uwięziła Droza (pokazywał tam swe automaty), jako podejrzanego o stosunki z czartem, i z trudem oswobodzono go: automaty jego, mianowicie: „pisarza”, „rysownika” i „fortepianistkę”, skonfiskowano. Droz umarł ze zgrzyoty, a „cuda mechaniki” odnalazł mocno



uszkodzone między starem żelastwem na strychu zamku w Bayonne w r. 1820 jakiś wędrowny kuglarz. Nikt nie umiał naprawić ich, i znowu wieść o nich zaginęła—i dopiero w r. 1904 genialny zegarmistrz francuski zdołał po pół roku mozolnych studyów doprowadzić „pisarza” do funkcjonowania (znajduje się obecnie w Norymberdze).

Również zdumiewająca była „fortepianistka”, grająca na fortepianie palcami rozmaite ulubione utwory muzyczne, przyciskając klawisze, jak i rysownik, rysujący ośm różnych scen z figurami osób i zwierząt. Vaucanson stworzył słynnego „flecistę”, automat, poruszający się przed audytorium, który, ukłoniwszy się, rozpoczynał grę na flecie, przyciskając kłapy... Po ukończeniu utworu kłaniał się i cofał. „Szachista”, automat, wygrywający partie szachów, graną ze słynnymi szachistami, obudzał kilkadziesiąt lat temu olbrzymią sensację.

Obecnie pragnie Szwajcarya zakupić te uszkodzone dziś androidy dla muzeum w „Chaux de Fonds”, miasta rodzinnego Drozów.

Po dziś dzień *nie znalazł się* genialny mechanik, któryby potrafił je naprawić i wrócić automatom sztuczne życie; z wyjątkiem „pisarza”, androidy, wyżej opisanej, nie funkcjonują.

EDMUND LIBAŃSKI.

## Nowa opera polska.

W coraz szybszym rozwoju polskiej twórczości muzycznej ważny moment stanowi opera trzyaktowa p. Ludomira Różyckiego, p. t. „Bolesław Śmiały”, którą dnia 11 b. m. z niezwykłym sukcesem wystawił po raz pierwszy teatr miejski we Lwowie.

Dzieło to bowiem jest pierwszym dojrzałym i szlachetnym owocem, który wydały usiłowania około zmodernizowania naszej muzyki operowej w duchu pojęć powagnerowskich.

Takiego dramatu muzycznego, jakiego pierwowzór stworzył Wagner, a jaki obecnie do ostatecznej i co prawda nieco absurdalnej konsekwencji doprowadził Ryszard Strauss, muzyka polska



LUDOMIR RÓŻYCKI.

dotąd nie posiadała. Były wprawdzie próby w tym kierunku. Wpływy wagnerowskie znać wyraźnie w pomoniuszkowskich operach, takich jak „Pan Wołodyjowski” Skirmunta, „Urwasi” Dłuskiego i „Manru” Paderewskiego, ale w każdym razie były to tylko wpływy, a nie przyjęcie i wcielenie w czyn wielkiej zasady, na której się dramat muzyczny opiera.

Dopiero Ludomir Różycki zapełnił tę lukę w nowoczesnej muzyce naszej, dając nam w „Bolesławie Śmiałym” prawdziwy dramat muzyczny, który odpowiada wszystkim wymaganiom, jakie tej formie stawiamy. Talent wielki, wiedza muzyczna ogromna, temperament potężny, intuicyja artystycz-

na pierwszorzędna i pracowitość dla wszelkich geniuszów rodzimych w najwyższym stopniu naśladowania godna, oto najważniejsze elementy sądu, który w umyśle słuchacza wytwarza „Bolesław Śmiały” Różyckiego.

Libretto „Bolesława Śmiałego” napisał znany powszechnie znakomity śpiewak, p. Aleksander Bandrowski. Jest ono udratyzowaną historią zatargu Bolesława Śmiałego ze św. Stanisławem, napisaną z dużą inwencją i poczuciem sceny; ale mimo to p. Różycki byłby lepiej zrobił, gdyby był wątek swego narodowego dramatu muzycznego osnuł na fabule, zaczerpniętej z czasów jeszcze niż Bolesławowe dawniejszych, z czasów mitycznych.

Wagner, tworząc swoje dramaty, nie wprowadził na scenę ani jednej postaci nie mitycznej, ani jednej postaci takiej, o którejby historyk, a za nim i wykształcony laik, mogli widzieć coś więcej ponadto, co ona sama o sobie wyśpiewa. I wielki mistrz uczynił to nie bez wielkiej racji. Natura bowiem muzyki, jako takiej, nie znosi żadnych materyalnych określoności. Gdybyśmy w przypuszczalnej operze pod tytułem, dajmy na to, „Marysienka”, kazali królowi Sobieskiemu być tenorem i zaśpiewać pięknymi trylerami wzruszający madrygał do pani jego złotego serca, to byłoby bardzo śmieszne i niedorzeczne, ponieważ króla Sobieskiego znamy nadto dobrze, aby móżdź znieść przez trzy godziny jego tenorowe popisy w świecie uludy i szminki. Bolesław Śmiały nie rysuje się wprawdzie w naszej świadomości tak plastycznie, jak obrońca Wiednia, ale niemniej znamy go o tyle, teraz szczególnie, po epokowych badaniach Wojciechowskiego, że nie możemy absolutnie pogodzić się z myślą, iż podczas zatargu ze św. Stanisławem mógł on pięknie i bardzo modernistycznie śpiewywać silnym tenorem à la p. Męciński, tenor królewskiej opery w Sztokholmie, który we Lwowie postać jego kreował.

Wszystkie postacie dramatów wagnerowskich żyją o tyle tylko, o ile śpiewają. Słuchacz i widz nie zna ich skądinąd i przestaje się nimi interesować w chwili, kiedy przebrzmi ostatni takt włożonej w ich absolutnie niematerialne usta pieśni czy recitativa. W operze, osnutej na tle historycznym, jest inaczej. Występujące tam postacie mają w świadomości widza byt autonomiczny niejako i od ich chwilowej „roli operowej” nie tylko najzupełniej niezależny, ale wprost

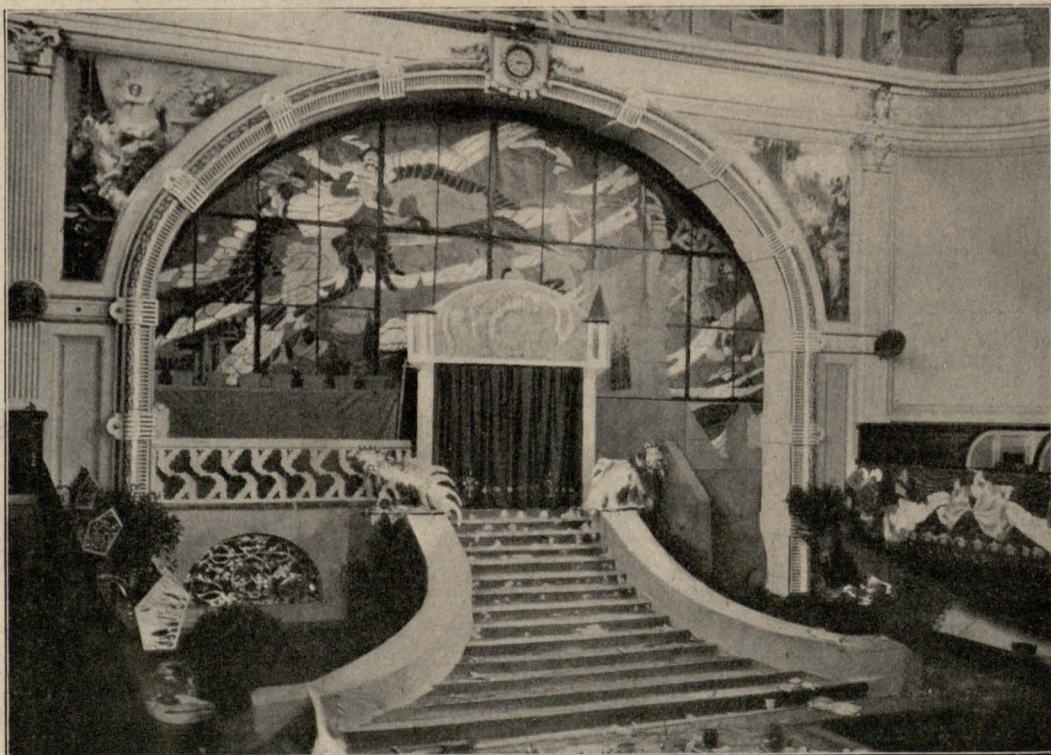
z nią sprzeczny. I ta właśnie sprzeczność pomiędzy historyczną postacią a cieniem jej operowym sprawia, że dramat Różyckiego pod względem muzycznym, pod względem techniki, faktury, wyzyskania środków skomponowany najzupełniej nowoczesnie, mimo to jednak tkwi jeszcze poniekąd w sferze umysłowej starej opery, która niewiele troszczyła się o to, że ze stanowiska dramatu muzycznego cel wszelkiej, najkunsztowniejszej chociażby konsekwencji w traktowaniu motywów, najsubtelniejszej instrumentacji i t. p. kończy się tam, gdzie się zaczyna konkretny fakt historyczny. Głos życia rzeczywistego, chociażby dochodził do nas nawet z poza dziesiątków wieków, jest zawsze jeszcze silniejszy i bardziej przekonujący, niż najpiękniejsza nawet metafizyka harmonii, lub t. zw. „zdrowego dysonansu”, którą jest muzyka.

Z tem wszystkim jednak w operze Różyckiego zyskała nasza muzyka dzieło bardzo poważne, które w historii jej stanowić będzie niewątpliwie moment nowy i wiele znaczący. △

Z BALU „MŁODEJ SZTUKI” DNIA 13 b. m. W FILHARMONII.



Wawel i Wisła. Figury symboliczne z pochodu na balu Młodej Sztuki dnia 13 lutego r. b. w Filharmonii.



Bal Młodej Sztuki. Zameczko Imc Pana Twardowskiego. „A smoki strzegą jego wrót”. Witraż i projekt zamku wyk. M. Boruciński.





JÓZEF KOTARBIŃSKI,  
nowo mianowany kierownik literacki dramatu i komedyi  
Teatrów rządowych warszawskich.

## „WSZYSTKO WOLNO“.

Sensacją polityczną, która nabrała rozgłosu światowego, jest sprawa Azewa. Towarzyszy jej olbrzymie zainteresowanie, i niema dnia, któryby nie dorzucił do niej nowych szczegółów. Wiemy już bardzo wiele, dowiemy się zaś jeszcze więcej. Poza tem jednak, co przynoszą nam nieustannie dzienniki, tkwi bardziej może interesująca od wszystkich efektów zewnętrznych, zagadka wewnętrzna, psychologiczna.

Jakie są drogi, które chodzą dusze ludzkie, zanim znajdą się na krańcach zwyrodnienia i upadku? Jakie są ukryte sprężyny ich działań? Gdzie biją źródła ich natchnień zbrodniczych?

Odpowiedź na to jest tylko jedna. Szukać jej należy w tej anarchii moralnej, która rzuciła rękawicę wszystkim dotychczasowym ostojom umysłu i serca i pod hasłem: „wszystko wolno” prowadzi swoją robotę niszczyliską.

Z nie przetrwanych doktryn filozoficznych Nietzschego, z zerwania wszelkich węzłów, z brutalnego egoizmu, który stroi się w tożę nadczłowieczeństwa, z mętnych teorii o wyzwoleniu jaźni, z nadmiernej żądzy użycia, z pogoni za pieniądzem, który daje wszystko, z barbarzyństwa, pokostowanego pretensjami do cywilizacji i kultury—powstaje to bagno, w którym grzęzną coraz liczniejsze jednostki.

Ani religia, ani prawo, ani poczucie karności społecznej i obowiązku wobec zbiorowości nie odgrywają już roli hamulców i kotwic zbawczych w procesie rozkładowym duszy ludzkiej, skoro ta dusza powie sobie: „wszystko wolno” i rzuci wyzwanie społeczeństwu i państwu. Wówczas zaczyna się pomiędzy nią a tem, co się jej przeciwstawia, walka na śmierć, walka, w której wszystkie środki są dobre, w której niema nic, z czemby się należało liczyć.

Typowym wcieleniem w życie tej zasady anarchistycznej była działalność prowokatorska i rewolucyjna Azewa, owa zdumiewająca, szatańska gra wśród nieustannych niebezpieczeństw, mająca na celu szkodę stron obu. Azew nie miał żadnych skrupułów. Nie uznawał żadnych węzłów, nie wahał się przed niczem, szedł po drodze, oślizgłej od krwi, dymiącej oparami nieustannych zbrodni, popełnianych na zimno, z wyrachowaniem, jemu tylko jednemu wiadomem. I tak doszedł do punktu, w którym sprawa stała się największą sensacją polityczną chwili bieżącej, kiedy oczy całego świata skupiły się na nim i na występnej jego działalności.

Niepodobna jednak patrzeć na to wszystko tylko jak na sensację. Jewno Azew, prowokator i rewolucjonista, agent policji tajnej i główny organizator zamachów terrorystycznych rosyjskich, to jednocześnie szarpnięcie za wielki dzwon alarmowy, to ostrzeżenie, które aż nadto wyraźnie mówi światu o tem, jak daleko może zejść człowiek,

idący pod hasłem: „wszystko wolno”, to dla kryminologów i psychologów temat do badań i rozmyślań poważnych.

Obok takiej zagadki psychologicznej nie można przejść obojętnie, nie można widzieć w niej tylko objawów zwyrodnienia jednostki zbrodniczej, ale trzeba szukać źródeł tego zwyrodnienia i tej zbrodniczości na tle szerszem i w granicach nie jednego społeczeństwa, nie jednego narodu, ale całej ludzkości, stojącej dziś na rubieży powszechnego rozkładu i anarchii duchowej i intelektualnej, ogarniającej coraz szersze koła.

Z. D.

## Zygmunt Przybylski.

W Przybylskim utraciła Warszawa jeden z popularniejszych swych typów. Każdy go znał, każdy go widywał codziennie w cukierni „pod filarami”, zawsze przy tym samym stoliku... Dziś go już niema—i wierzyć się nie chce, że ten, kto tyle razy aż do łez zaśmiewać się kazał, dziś nagłym swym i przedczesnym zgonem łzę żalu szczerzego z oczu wycisnie.

Ileż chwil pogodnego, niefrasobliwego humoru i wesołości zawdzięczamy „Wickowi i Wackowi”, „Państwu Wackom”, „Dworowi we Władkowicach”, „Dzierżawcy z Olesiowa” i tylu innym komedjom Przybylskiego, które tak przypadły do serca publiczności polskiej. Wszak „Wicek i Wacek”, odznaczeni niegdyś na konkursie im. Bogusławskiego, od 22 lat 150 razy bez mała oglądali światło kinkietów na scenie warszawskiej; a ile razy gdzieindziej—nie zliczyć!

I na innem polu Przybylski zdobył sobie szeroką popularność; był najulubieńszym komedyopisarzem polskim dla scen amatorskich: „Bzy kwitną”, „Grajek”, „Fotografia Jędrusia”, „Pierwszy bal”, „Gałązka jaśminu” i dziesiątki innych jednoaktówek, bądź rozjaśnionych promykami szczerzego humoru, bądź owianych leciutką mgłą sentymentu, rozniosły wszędzie imię ich twórcy.

Cóż więc zjednało utworom scenicznym Przybylskiego tak rozległe uznanie? Czy głębia psychologiczna? czy wysoki poziom artyzmu?

Ani to, ani tamto.

Komedye Przybylskiego wyszły ze wsi: at-

mosfera „białego dworku” w wieńcu topoli, pełnych bocianiego klekotu, jest im najbardziej właściwa. Zaci „dziedzice”, ojcowie rodzin, wśród tysiącznych kłopotów i „interesów” orzący zagon pradziadowski, czcigodne matrony, o gospodarstwo kobiece troskliwe, dziarska młodzież, której pali się w głowie, niby „albańczykom” księcia Panie Kochanku, paniczom „z pod Blachy”, lub „bałagunom” wołyńskim, młodzież o bujnym temperamentem szlacheckim, ale złotem, pocziwem sercu, skromne panienki, za krosienkami czekające błogostawieństwa Bożego—oto typy stałe tych „Wicków i Wacków”, „Dworów” i „Dzierżawców”, typy tak nawskroś swojskie, że nie mogły nie przypaść do serca tym, którzy w nich samych siebie widzieli.

I wszystko w nich swojskie: i tężyna braci powiatowych, i pocziwość, i cnota staropolska, i humor niewyszukany, a pogodny i szczerzy, jak w gawędach

i a negdotach, u ognia kominkowego prawionych, i sentymentalizm uczuciowy, owa łezka liryzmu, która taką jasność i szczerłość wprowadza do duszy—to wszystko odczuł Przybylski i, jak

czuł, nie siląc się na niezwykle efekty estetyczne, na scenie odtworzył.

I znał publiczność—umiał ją i rozczulić, i rozśmieszyć, i publiczność znała Przybylskiego, darząc go sutym oklaskiem za owe momenty pogodnej wesołości, o które w dzisiejszem pochmurzem życiu coraz trudniej.

I nie dziw, że żal serdeczny towarzyszył Przybylskiemu do grobu: to uczucie sprowadziło tłumy przyjaciół i wielbicieli talentu na pogrzeb uroczysty w dniu 16 b. m., to uczucie przemówiło przez usta p. Władysława Palińskiego, który w słowach prostych żegnał w imieniu sceny polskiej jednego z jej sług najwierniejszych. g.



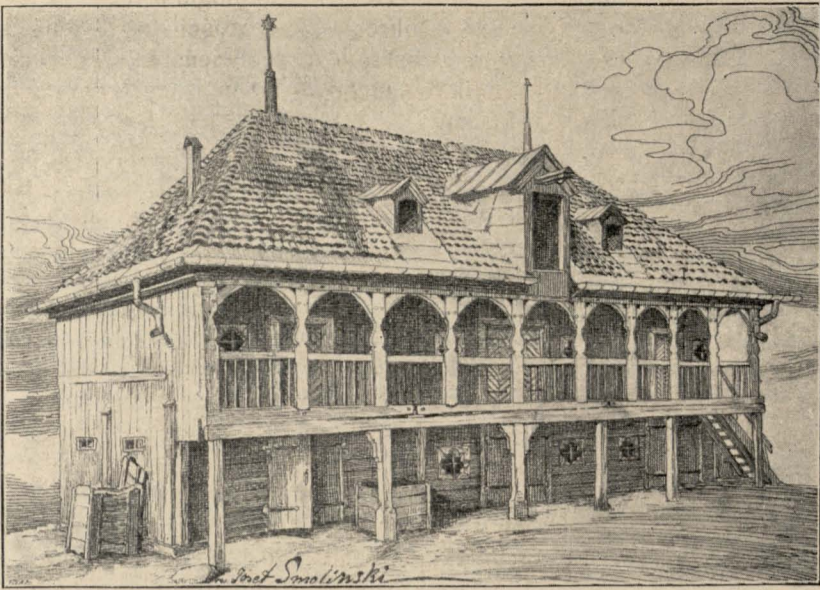
Zygmunt Przybylski.

WIZYTA EDWARDA VII W BERLINIE.



EDWARD VII i WILHELM II, dwaj potężni władcy Europy, dwie antytezy: konstytucyjności liberalnej i absolutystycznych rządów osobistych, dziś w zgodzie, może pozornej, w jednym powozie, na ulicach Berlina. Kiedyś może spotkają się na innych polach, wśród huków dział i kurzawy bitew? kto przyszłość odgadnie? Niewątpliwie jednak mające nadejść losy Europy rozegrają się nie bez ich udziału.





OSTATNI W WARSZAWIE ŚPICHLERZ DREWNIANY NAD WISŁĄ. Przed kilku miesiącami został rozebrany jedyny i ostatni w Warszawie śpichlerz drewniany podsienny z tych czasów, gdy Wisła służyła jako główny trakt przewozowo-handlowy przez Warszawę do Gdańska. Był to ciekawy i charakterystyczny zabytek drewniany z epoki renesansu XVII stulecia w Polsce, nie pozbawiony pewnych oryginalnych cech w budownictwie drewnianem z tych czasów, chociaż służył tylko do przechowywania towarów i produktów krajowych dla wywiezienia na zachód w celach handlowych. W lepszych warunkach krajowych zabytek ten kwalifikowałby się do przeniesienia i zachowania go, jako wzór dawnych u nas budynków ekonomicznych. Rys. z nat. Józef Smoliński.

## PRZEGLĄD PRASY.

Dwumiesięcznik *Przegląd Historyczny*, organ warszawskiego Towarzystwa Miłośników Historii, zakończył obecnie, zeszytem z listopada i grudnia, siódmy tom swego wydawnictwa. Wiele już w tych siedmiu tomach znalazło się cennych i ciekawych studyów, rozpraw i przyczynków. W ostatnim zeszycie czytamy, między innymi, bardzo interesującą, na źródłach archiwalnych opartą pracę p. Ign. Tad. Baranowskiego, p. t. „Podlasie w przededniu Unii Lubelskiej”. Z aktów urzędowych wyławiając szczegóły charakterystyczne, autor maluje obraz stosunków społecznych na Podlasiu w XVI w., obraz bynajmniej nie tak ciemny, jak to sobie różni oszczercy przeszłości wyobrażają.

„Jakkolwiek — pisze autor w zakończeniu — w zachodniej, szlacheckiej części Podlasia znajdowali się szlachyccy chłopcy pańszczyźniani, nie uznani nawet za osoby prawne, było ich jednak stosunkowo mniej, niż w innych częściach Polski... Mieszczanie, chłopcy królewscy, nie mówiąc już o drobnej szlachcie, posiadali, bądź co bądź, prawa obywatelskie; jedynie chłopcy szlachyccy nie byli ludźmi wolnymi, ponieważ jednak stanowili oni stosunkowo niewielką część ludności Podlasia, możemy dojść do wniosku, że ziemia ta, pod względem społecznym nie różniła się prawie od Polski, już w wieku XVI-tym posiadała większy procent mieszkańców-obywateli, niż inne dzielnice Rzeczypospolitej“.

Staranny zawsze pod względem doboru treści dodatek do *Gazety Lwowskiej*, miesięcznik p. t. *Przewodnik Naukowy i Literacki*, ogłasza w zeszycie styczniowym wiązkę prac, przynoszących prawdziwy zaszczyt wydawnictwu, na czele którego stoi Adam Krechowiecki. M. in. p. Karol Badeci podaje do druku nieznaną dotąd, a przechowywaną się w rękopisie w bibliotece hr. W. Baworowskiego „Modlitwy księżny Izabelli Czartoryskiej, rymem związane w dzień jej Imienin” przez Franc. Dyon. Książka. Z wiązanek tych głębokich liryk przytaczamy tu w całości jeden, p. t. „Religia”.

„Religio! imię święte!  
Jakaż udzielnosc, jaka twoja władza!  
Jakże cnot wiele na tobie zasadza  
Serce, twym darem ujęte!  
Jakże szczęśliwy ten człowiek na ziemi,  
Co się prawdami przennika twojemi!  
Przeciw przywarom, ku serca obronie,  
Schronię i tarczę on na twojem tonie

I w trudach swoich pociechy znajduje.

Twój łańcuch święty wiązuje  
Człowieka z Twórcą, nieszczęście z nadzieją  
I czas przytomny z Wieczności koleją“.

Wiązankę bogatej i doborowej treści przynosi styczniowy numer *kra-kowskiego Przeglądu Polskiego*. Na pierwszy plan wysuwa się tu rozprawa zamiłowanego badacza naszej przeszłości narodowej, Aleksandra Krauschara, p. t. „Spisek koronacyjny z r. 1829 w świetle prawdy historycznej”, rozprawa, rzucająca nowe światło na tę ciemną i zagadkową sprawę. Zdaniem autora:

„dzięki odnalezionej relacji wydarzeń, spisku pomienionego dotyczących, relacji, uczynionej przez inicjatora onego „spisku“ (kteryka Wincentego Smagłowskiego), wszelka wątpliwość co do natury, celów i środków przedsięwzięcia, a nadewszystko, co do osobistości, które były jego uczestnikami, winna ustąpić miejsca prawdziwej historycznej: o niktości legendy, która dotychczas w tej sprawie w umysłach ludzkich tkwiła.“

Z nowych publikacji peryodycznych wymienić należy występujący w szranki turniejowe *Przegląd krytyki artystycznej i literackiej*, pod kierunkiem Józefa Rozpry-Krobickiego. A więc krytyka krytyki, a jak z pierwszego numeru widać, śmiała i zadzierzasta. Rzecz potrzebna i pożyteczna, boć i krytycy, również jak i twórcy, mogą i powinni być krytkowani. *Przegląd krytyki* przekonał nas, że niema straszliwszej broni nad... śmieszność. Wystarczy np. wybrać cytate jakiegoś autora „bez komentarzy” i — wystawić go na urągawisko. Takiej metody użył *Przegląd* przeciw W. Feldmanowi — i odniósł tryumf. Do sprawy tej powrócimy jeszcze w swoim czasie.

## Pokłosie wydawnicze.

Walenty Zieliński. Czarodziejskie wiano, Warszawa-Kraków, 1908.

Wnuk Gustawa Zielińskiego, autora „Kirgiza“, we krwi ma zdolność poetycką. I wystąpił w szranki literackie z „Czarodziejskim wianem“. Baśń — nie baśń, alegoria — nie alegoria. Opowieść o królu starym, niewidomym i o jego królestwie-mroku, o królewiczu, co z wielkiego świata królewę-światłość na ziemię ojców przywoździ. Władanie wierszem bez zarzutu; kunsztowna zwrotka sześciowierszowa, dźwięczna i potoczysta; styl może niezbyt bogaty i kwiecisty, ale prosty i płynny. Utwór zdradza niedostateczne jeszcze, zapewne, opanowanie środków artystycznych, ale zapowiada talent, przed którym droga przyszłości otwarta. Ze pójdzie nią, nie wątpimy.

Romwn Plenkiewicz. Historia literatury powszechnej w zarysie. Wilno 1908.

Bardzo sumienny skrót dziejów literatury powszechnej, pożyteczny dla szkół i samouków. Może niezbyt barwny, niezbyt efektowny stylistycznie, ale, mimo to, może oddać pewne usługi, tem więcej, że literatura powszechna staje się coraz bardziej jednym z koniecznych przedmiotów wykształcenia średniego. Wypisów brak. Posiłkować się można bardzo dobrze ułożonym „Obrazem literatury powszechnej“ P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego (w 2 tomach). Natomiast — i to podnosi niezmiernie wartość książki — autor zestawiał w dołączonej na końcu bibliografii wszystkie istniejące przekłady arcydzieł piśmiennictw polskich na język polski. Może tylko niepotrzebnie rozpisuje się o poezji polskiej, która jest przecież osobnym przedmiotem nauczania szkolnego.

Maryla Czerkawska. Poezye, Kraków 1908.

Zasadniczym tonem nastroju poetyckiego p. Maryli Czerkawskiej jest — smutek, zniechęcenie, melancholia. Rzeczy to tak zwyczajne w dzisiejszej, a nawet i nie w dzisiejszej, twórczości poetyckiej, że tonów nowych, dźwięczniejszych i mocniejszych, nie udało się poetce wydobyc z rozłkanej lutni. A jednak utwory jej nie są bez wartości. Celują poprawną, często wytworną formą wiersza (oryginalna np. zwrotka 14-wierszowa, ronet, nie sonet); znajdują się tu i wdzięczne nastroje-krajobrazy, czasem zabrzmi też i silniejszy nieco wylew uczucia, gorzkości, gniewu, czy wyrzutu. Trafi się też i szczęśliwszy wyraz poetycki myśli, czy uczucia poetki, jak np. w wierszu p. t.: „Tarnina“.

## ZE SZTUKI.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, zgodnie z życzeniem p. Władysława Kazanowskiego, ogłasza ku uczczeniu pamięci artystki-malarki, Maryi Klass-Kazanowskiej, konkurs na pracę z zakresu malarstwa olejnego. Pragnący wziąć udział w konkursie winni nadesłać swoim kosztem do gmachu Towarzystwa przed 1 maja r. b. jedną lub dwie prace przy podaniu na imię Komitetu z dołączeniem metryki urodzenia, adresu i opisu biegu życia. Komitet w składzie swym zwiększonym za prace, uznane za najlepsze, przyzna dwie nagrody pieniężne: rub. 120 i 75, oraz dwa listy pochwalne.

Jednocześnie tenże Komitet T. Z. S. P., zgodnie z życzeniem Komitetu Wystawy Przeciwalkoholicznej Towarzystwa Hygienicznego, ogłasza drugi konkurs, na obraz, który, odbity w licznych reprodukcjach, mógłby szerzyć po kraju idee szkodliwości alkoholu. Nagroda jedna — rub. 150, termin — 25 lutego r. b.

## PORTRETY NA DOBIE.



Teodor Chrućki, najstarszy syndyk kazańskiego kościoła katolickiego, z powodu 25-letniej pracy około podniesienia i uświetnienia tej świątyni polskiej na obczyźnie.

## Muzyka polska w Łodzi.

Jako jedno z ognisk sumiennej i poważnej pracy, zasługuje na szczerze wyróżnienie łódzka szkoła muzyczna profesora i dyrektora tej uczelni, p. A. Grudzińskiego, który, po zwinięciu szkoły muzycznej braci Hanickich, z wielkim nakładem pracy i kapitału szerzy kult muzyczny w bawelnianym grodzie.

Prof. Grudziński urodził się w 1875 r. w gub. suwalskiej w m. Sejnach; po ukończeniu szkół rozpoczął studia muzyczne w konserwatorium warszawskim, które ukończył celując z dyplomem I kategorii. Posiadając wszelkie dane artystyczne na pianistę estradowego, a będąc z natury bardzo wrażliwym, wyrzekł się laurów w dziedzinie wirtuozostwa, poświęcił się specjalnie studiom pedagogicznym i w przeciągu tego czasu zasłynął jako znakomity pedagog gry fortepianowej. Wyrobił własny system nauczania, zwalczył

starą szkołę, zaprowadzając kierunek postępowy w pedagogii. Nadmienić należy, iż w szkole tej pracowali profesorowie konserwatorium warszawskiego: np. prof. An. Sygietyński (fortepian). Dojeżdżał prof. Zygmunt Noskowski (egzaminatory teoretyczne i odczyty muzyczne), p. Józefina Szezygierówna (śpiew) i inni. W charakterze ekspertów byli obecni na egzaminach: prof. Aleksander Michałowski, prof. Marek Zawirski i prof. Stelmach. Wymienić też należy bardzo sumiennego i zdolnego prof. Stanisława Szwarbacha (przedmioty teoretyczne i fortepian) i prof. Jana Krudowskiego z Krakowa (skrzypce). We wrześniu 1903 r. Łódzkie towarzystwo śpiewacze „Lira“ na ogólnym zgromadzeniu obrąo dyrektorem muzycznym prof. Grudzińskiego, który na koncercie, odbytym na cel miejscowej szkoły handlowej ku-piectwa łódzkiego, wykazał pierwszorzędne zalety kierownika chóarów.



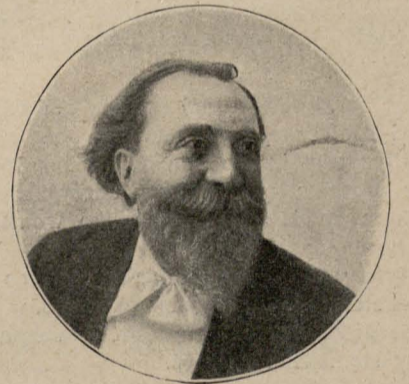
## ZMARLI.

KAZIMIERZ SOBAŃSKI, właściciel dóbr Guzowa pod Warszawą, wiceprezes rady Towarzystwa opieki nad dziećmi, zmarł nagle w d. 11 b. m.,



przeżywszy lat 49. Zamiłowany miłośnik starożytności, zgromadził olbrzymi zbiór numizmatów, jeden z największych w Polsce, nie uchylał też pomocniczej dłoni wobec istotnych potrzeb społecznych.

CATULLE MENDÈS, znakomity poeta francuski, jeden z grona parnasistów, którzy grupowali się około założonego przezeń w r. 1859 czasopi-sma literackiego p. t. *Revue Fantaisiste*. Napisał



wiele utworów wierszem i prozą, poematów, komedii, dramatów i tekstów do oper, oraz roman-sów i powieści, z których kilka tłumaczono na język polski. Od r. 1893 był sprawozdawcą muzycznym i teatralnym *Journal'a*.

## SPROSTOWANIE.

Z powodu artykułu K. Laskowskiego w N-rze 6 *Tygodnika*, p. Bronisław Pasikowski prosi nas o podanie właściwego brzmienia jego nazwiska (nie: Wasikowski, jak mylnie wydrukowano).

## OD ADMINISTRACYI.

Z powodu nadspodziewanie licznych zażądań dzieł dla prenumeratorów „Tygodnika” zniżonych i w skutek tego wyczerpania pewnych tomów, zmuszeni jesteśmy dzieła wyczerpane zastąpić innymi, o czym Szanownych Prenumeratorów niniejszym zawiadamiamy.



BRONISŁAW CHLEBOWSKI:

**ZYGMUNT KRASIŃSKI**

(1812—1859).

W 50 ROCZNICĘ ZGONU.

## I.

Czcząc pamięć wielkich duchów, których geniuszowi twórcemu, czynom i dziełom zawdzięczamy nasze skarby duchowe i czerpaną z nich siłę do przetrwania ciężkiej teraźniejszości, wiarę niezłomną w lepszą przyszłość, stwierdzamy tkwiącą w nas bezwiednie ideę, przenikającą dusze i dzieła trzech mistrzów naszych i zespalającą ich mimo tylu różnic i przeciwieństw w charakterach, uzdolnieniach, pojęciach. Jest to idea związku, pomocy, współdziałania, miłości — pomiędzy światem zmarłych a żyjącymi, związku, wytwarzającego z nich duchowe społeczeństwo. „Dziady”, „Trzy myśli Ligenzy”, „Przedświt”, „Książd Marek”, „Zborowski”, „Król Duch” — oto najwybitniejsze wcielenia i odtworzenia tej idei, którą można uważać za przewodnią w rozwoju duchowym i twórczości najważniejszych okresów życia naszych wieszczów. Towianizm był naturalnym wynikiem, koniecznym niemal następstwem roli doniosłej, jaką ta idea, otwierająca dla wyobraźni, uczucia i myśli tak rozległe widnokreśli i dziedziny, musiała odegrać w życiu duchowym społeczeństwa, potrzebującego tak w swej rozpaczliwej doli oparcia i pokrzepienia w świecie wyższym. Uświęcone powszechnym zwyczajem, związane z pewnymi chwilami czasowego oddalenia, akty hołdu wielkim duchom przeszłości u nas mają, a raczej mieć powinny, w związku z przenikaniem w nasze dusze idei i dążeń naszych wódzów duchowych, tem większą doniosłość i religijną niemal powagę, świadczącą o naszym zespoleniu się z ich duchami, o gorącym ukochaniu i zrozumieniu ich dążeń i ideałów.

Sądząc z pojawiających się przedruków i wydań, z coraz liczniejszych studyów krytycznych, coraz większego udziału różnych kół społecznych w składaniu hołdów i wznoszeniu pomników, oddziaływanie coraz szerzej znanych i lepiej rozumianych dzieł wielkich poetów wzmacnia się stopniowo, choć dość powolnie. Obok nieprzyjaznych warunków, w jakich istnieje obecnie szkoła polska, obok braku tej szkoły na znacznych obszarach ziem dawnej Polski, paraliżuje, a przynajmniej ogranicza i osłabia wpływ duchowy naszej wielkiej poezji wieku XIX dzisiejsza, współczesna literatura, tak bogata w twórców i w twory wyższej wartości, lecz nosząca na sobie znamię tych rozpaczliwych warunków bytu naszego, które tak osłabiły nić tradycji, wiążącej nas z przeszłością, a spokrewniły duchowo młodsze pokolenia z wywołaną podobnymi warunkami — przy braku oparcia o przeszłość — bogatą, pociągającą i podniecającą cierpiące dusze literaturą rosyjską drugiej połowy zeszłego wieku. Literatura ta, przez swe idee przewodnie i ideały, przez swój stosunek do przeszłości narodowej i widzenia przyszłości, zostaje w zupełnym, jaskrawym przeciwieństwie z ideami i ideałami wielkich pisarzy polskich zarówno wieku XVI, jak i XIX, z zamykającym ich poczet Wypiańskim.

Zbiegające się w tym roku dwie uroczystości: stulecia urodzin Słowackiego i pięćdziesięciolecia zgonu Krasińskiego — nabierają tem donioślejszego znaczenia dla naszego życia narodowego, iż dają sposobność umocnić, nawiązać silniej węzły duchowe, rozluźnione przez prądy i wypadki lat ostatnich, między prze-

szłością, wcieloną z taką potęgą artyzmu i uczucia w duszach i utworach wielkich poetów, a chwilą obecną, zatracającą, nie tak dawno w upojeniu rewolucyjnych porywów, a dziś znów w mroku przygnębienia, w mgłach zwątpienia poczucie obowiązku narodowego i energię do pracy dla przyszłości, której promienne wizje wzbudzali w swych duszach i unięśmiertelniali w dziełach wielcy wieszcz.

Zespolenie się duchowe z ideałami i widzeniami przeszłości i przyszłości, w arcydziełach Słowackiego i Krasińskiego, byłoby najpożądanejszym, jedynym aktem hołdu, godnym tych wielkich, silnych wiarą dusz, a podnoszącym i pokrzepiającym nasze — małe i zwątpiałe.

Przypadająca w dniu 23 lutego pięćdziesiąta rocznica śmierci wieszca „Przedświtu”, który, ujrzawszy światło dzienne w Paryżu 19 lutego 1812 r., tamże r. 1859 w cztery dni po rocznicy swych urodzin zakończył ciężki, acz niedługi żywot, daje sposobność ująć z półwie-



ZYGMUNT KRASIŃSKI W 14 ROKU ŻYCIA.  
Obraz Januarego Suchodolskiego.

kowej oddali w treściwym zarysie dzieje tego niepospolitego ducha i jego twórczości.

Życie duchowe Krasińskiego przedstawia trzy, równe niemal, co do czasu, okresy rozwoju. W pierwszym, pod działaniem licznych i różnorodnych bodźców, wstrząśnień, kolizji wytwarza się i potęguje wrażliwość i uczuciowość, występująca w związku z rozwijającymi się cierpieniami fizycznymi, w gorączkowych przeskokach od podniecenia i wybuchów do odrętwiałości, „letargu”, w skłonności do przewidywania i oczekiwania ciągłego katastrof, śmierci i osnutych na ten temat wizjach. Jednocześnie jednak odbywa się praca myśli, zwracającej się w różnych kierunkach, zależnej wprawdzie od zmienności nastrojów uczuciowych, ale stanowiącej zarazem pewną przeciwwagę, hamulec dla szarpiących duszę popędów i dręczących wizji gorączkowych. Drugi okres, dziesięcioletni (1838—1848), przedstawia uspokajanie się burz wewnętrznych i kolizji uczuciowych, umożliwiającej nie tylko systematyczniejszą i poważniejszą pracę myśli, ale i osiągnięcie harmonii, syntezy pragnień uczuciowych z wynikami zaciekań filozoficznych i wynikłe stąd usiłowania czynnej realizacji nowych ideałów. W trzecim, ostatnim dziesięcioleciu zarówno wyczerpanie energii i treści duchowej przez ożywioną poprzednią twórczość i działalność, jak postępy choroby chronicznej, ogarniającej stopniowo cały organizm, wreszcie martwość życia w epoce reakcji po wstrząśnieniach r. 1848 sprowadzą zanik powolny sił duchowych i fizycznych, uniemożliwiający dalszą twórczość.

W pierwszym, najbogatszym i najświetniejszym okresie twórczości występują najwybitniej jaskrawe przeciwieństwa różnorodnych czynników duchowej organizacji poety. Realista, satyryk, a jednocześnie wizjoner; myśliciel, polityk, historyzof, patriota, a jednocześnie artysta i poeta. Czynniki te wytwarzają tak ścisłe duchowe powinowactwo między Krasińskim a Dantem. Niższość poety polskiego i różnica główna od mistrza włoskiego polega na tem, że w duszy Dantego te czynniki zharmonizowały się i znalazły swój nieśmiertelny wyraz w arcydziele, wcielającym wielką, ogólnoludzką ideę w ramy pomysłu, pozwalającego twórcy zużytkować i zespolić w cudownym powiązaniu cały świat nagromadzonych w jego wielkiej duszy przeżyć, spostrzeżeń, obrazów, wiadomości, pojęć, słowem, całą treść ówczesnego życia duchowego, jego dążeń i zdobyczy. Przełożyć „Boskiej Komedii” nie był zdolnym jednak Krasiński i nie próbował, ale za to, w odtworzeniu przypominających mistrza włoskiego obrazów, wizji był mu bliższy, niż inni, pod wpływem jego zostający poeci. Nawet największej zbliżony układem, obrazami i oświetleniem „Anelli”, zarówno ideą przewodnią, jak nastrojem uczuciowym, spokojną melancholią, oddala się od stanu duszy wielkiego Florentczyka. Co do „Podróży Dantyszka”, to mimo pozornego podobieństwa, różnice i oddalenie jeszcze większe. Jeden Mickiewicz w niektórych ustępach z trzeciej części „Dziadów”, zwłaszcza w opowiadaniu Guślarza, dorównał mistrzowi włoskiemu.

Już we francuskich utworach z epoki genewskiej (r. 1830) przejęta od Byrona forma sennych marzeń, snujących się ciągiem zmieniających się scen, świadczy ciągiem powtarzaniem o właściwościach duszy potrzebującego jej ciągle poety. Treść i przebieg tych marzeń odbija gorączkowy nastrój wyobraźni, lubującej się w kataklizmach i katastrofach w przyrodzie i świecie ludzkim, szukającej jakiejś chorobliwej rozkoszy w przeżywaniu wstrząsających wrażeń, takich niezwykłych chwil. Dante doznaje najrozmaitszych wzruszeń, — trwogi, ciekawości, zachwyty — w czasie swej wędrówki, wzruszeń, wywołanych niezwykłością własnego położenia, nowością i niezwykłością oglądanych miejsc, postaci, scen, słyszanych opowieści, objaśnień i wykładów, lecz wszystko, co widzi, jest samo w sobie zwykłym, normalnym życiem świata piekielnego, czyścowego, czy sfer niebiańskich, Krasiński zaś w swych wizjach zawsze odczuwa cierpienia i szamotania się człowieka ginącego, czy oczekującego co chwila zgonu, wśród druzgocących wszystko dookoła wstrząśnień, przewrotów. Rozstrój fizyczny, występujący od 18 roku życia w coraz to nowych cierpieniach, przejścia moralne, rozwijające rosnący z latami pesymizm i hamletyzm, utrwala w poecie skłonność do odtwarzania stanów własnej duszy w takich pokrewnych im rozpaczliwością, chaotycznością i gwałtownością obrazach i położeniach. „Adam Szalenię”, „Wygnanie”, „Agaj-han” i „Nieboska” to kolejne, w różnych formach, odtwarzania wizji duszy, szukającej ulgi w wypowiedzeniu się, w usprawiedliwieniu się temi wizjami wobec ludzi ze swej bezczynności społecznej, z cierpień i położań, przekształcających rycerza-męża w poetę. Ten indywidualny, osobisty punkt wyjścia i bodziec tworzy doniosłą różnicę między „Boską Komedją” a „Nieboską”, różnicę, stwierdzoną zresztą w nazwie przez samego Krasińskiego, choć z innych zapewne powodów.



— Otóż to. W takich stosunkach, jak wasze z ludem, gdzie tu może powstać nienawiść do żywiołu polskiego?

— To też i nie powstaje.

— Dlaczegoż więc powstaje gdzieś indziej?

Hieronim zmierzył krokami całą długość dworu wiszuńskiego, zanim odpowiedział. A gdy zawrócili napowrót, Apolinary już myślał o czym innym.

— Pojutrze, na zebraniu u Chmary bę-

— Jest sama, są dwie córki, i jest druga Chmarzyna, z domu Sołomerecka.

— A to kto taki?

— Bratowa. Piękna bardzo.

— Nie zaszkodzi zobaczyć—rzekł pan Apolinary, zacierając ręce.

Od strony stajni ukazał się starożytnego wzoru „szaraban”, zaprzężony w czwórkę koni. Okrążył wolno pół dziedzińca i stanął w pobliżu podjazdu pod cieniem wielkich kasztanów.

Wkrótce ujrano w głównych drzwiach dworu panie domowe, za niemi Kazimierza. Aldona była w płaszczu i kapeluszu, pani Budziszowa z odkrytą głową i w luźnych szatach codziennych.

— To widzę, żona nie jedzie do kościoła—zauważył Hieronim.— Miejsca będzie dosyć.

Jakoż trzech mężczyzn i jedna pani usadowili się wygodnie w obszernym szarabanie.

Niespełna wiorsta drogi po pagórkach dzieliła dwór od „miasteczka”, czyli wsi kościelnej Wiszun. Jednak do kościoła jeździli paradnym cugiem nie tylko dziedzice, lecz i osoby wyższego względnie towarzystwa ze dworu. Pani Mickiewiczowa na przykład czyniła zależnym swe nabożeństwo od tego, czy są dla niej konie do kościoła. I dzisiaj świeciła po drodze

swą suknią, jak zieloną latarnią, osadzona z panią ekonomową, równie szlachcianką, na wąskiej, ale dworskiej i parokonnej bryczce. Pieszko szedł tylko gmin: parobcy szarzy i rosłe, chichoczące z pod zarzuconych na głowę chustek dziewczki.

Na obszernym placu między kościołem i karczmą stały, niby zbite w pomost, liczne kałamaszki, wyprężone, ze wzniesionymi do góry hołoblami. Cały pułk koników uwiązany był do płotu plebanii.

— Czy to dziś jarmark w Wiszunach?—zapytał pan Apolinary.

— Nie, wuju, zwyczajna niedziela—odpowiedziała Aldona. Nasz lud woli jeździć, niż chodzić.

— Dobrze takiemu, kto może.

Przez ogródek kwiatowy, pełny astrów i nasturcyi, weszło towarzystwo do plebanii.

Zwyczaj kazał odwiedzać proboszcza przed nabożeństwem lub po sumie. Więc

w dni świąteczne o południu bywał tu salon wielce różnobarwny, demokratyczny. Dwa otwarte pokoje, jeden frontowy, drugi od strony sadu, mieściły zawsze po kilka, lub i po kilkanaście osób, dzielących się instynktowo na izbę wyższą i niższą. Od frontu wchodziło zasadniczo ziemiaństwo szlacheckie, od tyłu, z piekarni napływały śmielsze indywidua z pomiędzy drobnych oficyalistów i bogatszych włościan. Drzwi między izbami były otwarte, i nikt nikomu wstępu nie bronił, ani miejsca nie wskazywał, jednak towarzystwo układało się stale w sposób, wyżej opisany.

Przed wejściem do plebanii Hieronim Budzisz zatrzymał na chwilę towarzystwo i rzekł do Apolinarego:

— A nie przestrasz się, kochany, naszego proboszcza. Stary, przyjaciel naszej rodziny, umarł w roku przeszłym. Przyszli na biedę nowego.

— Ach, papo! po co źle uprzedzać panów? Ksiądz Witulanis ma najlepsze chęci.

— Pozwól-że mnie mówić, Aldonko. Ja mówię rzadko. Kwestyi litewskiej z księdzem nie zagabaj, bracie Apolinary. My tu jego powoli ułaskawimy. Tymczasem on jeszcze z tych... specjalistów, o których mówiliśmy.

Gdy weszli, zastali proboszcza, księdza Witulanisa, przy herbacie. Już był mszę odprawił, a sumę miał celebrować inny ksiądz, przybyły w gościnę. Powstał na powitanie, dorodny i opasty, młody jeszcze, z pretensją do rysów rzymskich. Wysłuchał obojętnie nazwisk gości z Królestwa, zaprosił, aby usiedli, i milczał. Z całego obejścia tchnęła niezgrabność człowieka, który ogłada towarzyską i kulturą umysłu nie dorósł do swego stanowiska. Ani śladu w nim nie było namaszczonej słodyczy duszpasterza i spowiednika, ani nawet rubaszości przyjacielskiej. Dla utrzymania pozorów powagi był sztywny, śmiesznie stanowczy, nieznośny.

Odezwał się do Hieronima Budzisz obcesowo, nie odpowiadając na jego pojednawczą uwagę o pięknej pogodzie:

— A mnie wczoraj „dworne” bydło len zdeptało. Szkody rubli pięćdziesiąt.

— Pogodzimy się, księżu proboszczu—odpowiedział Hieronim, zażenowany.

— Czy ksiądz proboszcz sieje dużo lnu?—zapytał Rokszycki.

— Jak popadnie.

— Przyjechałem tu specjalnie dla poznania uprawy lnu. Może mi ksiądz pozwoli obejrzeć swoje pola?

— At, len u mnie taki, jaki wszędzie. Wiadomo, „dranna” trawa.

Po tej próbie Rokszycki urwał rozmowę. I pan Apolinary, przeciw swej naturze, milczał: ksiądz Witulanis żywo mu przypominał towarzystwo, spotkane w restauracji wileńskiej. Gotował na tych wichrzycieli swe gromy, ale je chował do czasu.

Rozmowę, przez nikogo nie pożądaną, sztukowała herbata. Około fundacyjnego,



Pani Mickiewiczowa z panią ekonomową na bryczce. K. GORSKI

dzie pewno okazała przedyskutowania wielu kwestyi programowych?

— A już...

— Samego Chmarę znam z Warszawy. Człowiek silny?

— ...

Widząc, że nie dobędzie z Hieronima poglądów ogólniejszych, Apolinary chciał się upewnić przynajmniej co do szczegółów.

— Na twoją odpowiedzialność, bracie Hieronimie, przywożę Kazimierza do Chmary.

— Jaż mam prawo wprowadzić dwóch gości. Taki już zwyczaj przyjęto u nas na zebraniach.

— Ale tym razem goście z Korony.

— Wszystko jedno—*moi* goście.

Postać i ton pana Hieronima wzbudzały zaufanie, że działa pewnikiem i nie jest zdolny popełnić nieprzyzwoitości.

— Czy dom Chmary familijny? Są i kobiety?



ogromnego samowara krzątała się wystrojona odświętnie księża gospodyni, osoba starsza, łzawo uprzejma, mając do pomocy ładną siostrzenicę. Trzeba było przez grzeczność przyjąć szklanke, albo skosztować „piaskowców” domowego wypieku, albo cukierków Landrina, rozłożonych na szklanych, ozdobnych talerzach. Takie przyjęcie od 10-tej do 1-ej w niedziele i święta należało do zwyczajów, tradycyjnie ustalonych. Ksiądz Witulanis, choć ze szlachtą wcale nie towarzyski, nie śmiał usunąć niedzielnego przyjęcia.

Nareszcie dzwon kościelny zabrzmiał donośnie. Ksiądz powstał i udał się do kościoła, gdzie miał mówić przed sumą kazanie po litewsku. Wyszli i goście z plebanii, ale zatrzymali się w ogródku. Tylko Aldona chciała usłyszeć litewskie kazanie.

— Opowiedz nam potem, czy ksiądz nie mówił z ambony o łnie zdeptanym— rzekł, śmiejąc się, pan Apolinary do odchodzącej.

— Ach, wuj także satyryczny? Myślałam, że wuj dobry.

Gdy znikła w furcie wysokiego muru, który otaczał kościół z dziedzińcem i dzwonnica, pan Apolinary odezwał się do Hieronima, stojąc pośród kwiecistego ogródka, po którym krążyło parę ładnych dziewczyn i rwało kwiaty:

— Wszystko u was piękne, tylko ksiądz wam się nie udał. Drugiego już takiego spotykam, a jest ich podobno wielu na Litwie?

— Niemało—odrzekł Hieronim—ale są, dzięki Bogu, i inni.

— Radbym ich poznać, dobrodzieju mój, bo ci to jadowite baki na waszych kwiatkach.

Zerknął na dziewczyny, rwące kwiaty. Widocznie proboszcz pobłażał maluczkim, choć wobec wielkich był hardy.

— Ot, więcejby takich, jak ksiądz Antoni Wyrwicz!—westchnął Hieronim.

— A kto to taki?

— Dzielny księżyna. Mieszka o kilka mil od nas, bez parafii. Takiego nie dopuszczą. Ot, masz stosunki, bracie Apolinary, sprowadź nam księdza Wyrwicza na proboszcza do Wiszun.

— To przechodzi zakres moich działań. W sprawach świeckich, co zechcesz, dobrodzieju mój, ale w kościelnych... No a teraz obejrzyjmy kościół po wierzchu. Fundował go Hieronim Budzisz w ośmnastym wieku—mówisz?

— A tak, mój pradziad.

Świątynia, oglądana już wielokrotnie z daleka, zadziwiała zblizka tylko swym ogromem i rozrzutnością użytego materiału. W masywnym murze szczytowym za ołtarzem widniały, jak strzelnice, wąskie okienka od celtek klasztornych, objętych całkowicie grubością muru.

Przed niskim głównym wejściem, na

kamiennych schodach, nie siedzieli żebracy, lecz rozsiadły się swobodnie kobiety z ludu, przybyłe na nabożeństwo. Niektóre starsze zachowały jeszcze malowniczy strój głowy, białą, jak śnieg, „namiotkę”, przypominającą misternym wiązaniem ubiór kobiet polskich z 16-go wieku. Wielu mężczyzn chodziło po podwórzu kościelnym, trzymając czapkę w prawej ręce, charakterystycznie założonej pod lewe ramię. Jak wszędzie na wsi, kościół i jego najbliższa okolica stawały się w pogodną niedzielę miejscem uczytu oczu i uszu, zbiorowem weselem, polem popisu z dostatków i urody. Nic to nie ubliża szczerzej pobożności litewskiego ludu.

Przez boczne wejście od zakrystyi weszli Budziszowie i Rokszycki do wnętrza nawy i zajęli miejsca w jednej z czterech ławek, ustawionych dla „honoratiores” przy obu murach rozległego presbyterium. W tej części kościoła, odgrudzonej balustradą, tłum był rzadszy, bardziej z miejska ubrany, przeto pospolitszy.

Ale piękniejsza chwała Boża biła od ludu, klęczącego wzdłuż ogromnej nawy dwoma zastępami: ciemnym z mężczyzn i kwiecistym z niewiast. Rozłączał je szpaler środkowy, strzeżony przez „bratczyków” w liberyi kościelnej, z których każdy dzierżył poważnie latarnię, osadzoną na wysokim drzewcu. Kto chce oglądać powagę i krasę ludu litewskiego, niech przyjeżdża na mszę niedzielną do Wiszun.

Pułk męski klęczał w skupionej zadumie. Głowy rozliczne, częściej jasnowłose, mówiły, każda po swojemu, o spokoju sumienia. Trudnoby je posądzić o instynkty drapieżne, o zaborcze ruchy zbiorowe, o nerwową niecierpliwość rewolucyjną. Marzące błękitnie, kwitnące spokojnie, czasem zastygłe w biernej zaciętości, twarze te były krewne typu prasłowiańskiego.

Kolumna niewiast wysuwała na front najpiękniejsze. W ogromnym kobiercu szat barwnych, białych „namiotek”, kwiatów świeżych, trzymanych w ręku i upiętych we włosy, zalotne oczy i różane cery młodych Litwinek błyszczały, nie zwyciężone przez nadmiar barw otaczających. Czy się pochyliła która niedbale, zrzucając na ramiona chustę z rozgrzanej głowy, czy skamieniała w czolobitnym pokłonie, dorysować było można szlachetną linię ciała o długiej goleniwi spadzistych barkach.

A od całej nawy, szczelnie zajętej przez lud, wiał świeży zapach chleba i ziela, nie klóćąc się z wonią kadzideł.

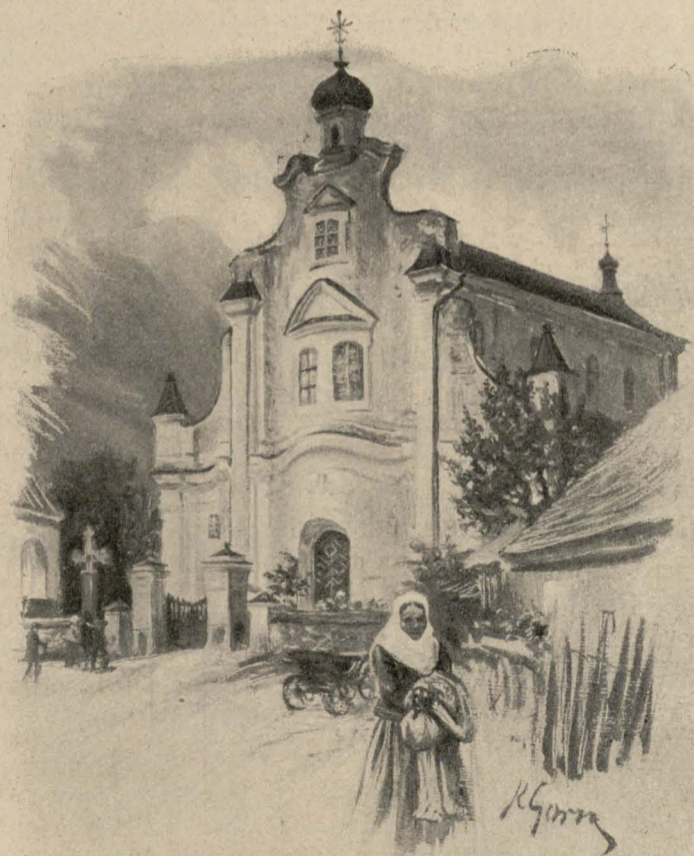
W kolatorskiej ławce modliła się naprawdę przykładnie tylko Aldona, zwrócona twarzą do ołtarza, uważna na dzwonki mszal-

ne. Hieronim Budzisz, mieszcząc z trudnością długie nogi między ławą a pulpitem, siedział boczkiem skulony, jednak z powagą. Ale dwaj koroniarze, dostawszy, jak na pokusę, miejsca w pobliżu kwietnego łanu dziewczęcego, nie mogli się powstrzymać od niewczesnych tutaj studyów ludoznawczych. Pan Apolinary raz po raz wynajdywał w tłumie jakąś twarzyczkę, ślicznie na niego zagapioną, a po chwili, czując, że sam nabiera rozmazanego wyrazu, odwracał się stanowczym ruchem, marszczył brwi, zjeżał wąsy, siłać się na poważny, odpowiedni do sytuacji profil. Nareszcie, aby uniknąć zapomnień, chwycił za książkę do nabożeństwa, leżącą na pulpicie, i zaczął w niej czytać napotkane przypadkiem psalmy pokutne.

Ale i z klęczącego tłumu kobiet setki oczu ciekawych zwracały się uporczywie ku ławce kolatorskiej, gdzie na samym brzegu od kościoła siedział Kazimierz Rokszycki. Ten, swoim zwyczajem, nie udając nigdy nic, spoglądał prosto tam, gdzie go oczy ciągnęły. I nieraz zdybał wyiskrzone ku sobie błękitne oczy i usta półotwarte, wpadające w uśmiech porozumienia. Piękna Litwinka, przy takim spotkaniu, zwracała nagle oczy na boczne ołtarze, kręciła się pod palącym wzrokiem pięknego, nieznanego panicza, a ująć nie mogąc inaczej, kryła twarz zapłonią, padając w głęboki pokłon.

Opar kadzideł i senny głos organów kołysały lubo; niejednen się zapamiętał w modlitwie, inny i usnął w służbie Bożej. Kazimierz, pod wpływem kołyszącej atmosfery, spoważniał wkrótce, przestał się rozglądać, wzrok utkwiał w górne gzemsy kościelne.

(DCN)



Świątynia zadziwiała swym ogromem,

K. GORSKI



WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI:

# CHOROBA.

Tego dnia pogoda była ohydna. Padał śnieg, pomieszany z deszczem, i rano było tak ciemno, że Kazio pił pierwsze śniadanie przy świetle. Parzył sobie usta herbatą, gdyż ociągał się ze wstawaniem do ostatniej chwili, potem strasznie długo się ubierał, i gdy wreszcie przyszedł do stołowego pokoju, było już po wpół do dziewiątej. Do wyjścia z domu pozostawało zaledwie pięć minut czasu. Z ponurą miną zasiadł przy stole i, pijąc śniadanie, równocześnie gorączkowo przerzucał kartki w gramatyce łacińskiej, którą oparł o cukierniczkę, żeby mu wygodniej było czytać. Wiedział, że napewno będzie dziś odpowiadał z łaciny i z tego powodu postanowił być nawet wstać o godzinę wcześniej, niż zwykle, bo rozumował, że „rano na świeżo” będzie mu się łatwiej nauczyć lekcji, niż wieczorem. Tak się jednak fatalnie złożyło, że, jak na złość, zaspał i wstał znacznie później. Na domiar złego łacina była pierwsza, i na to, żeby podczas pauzy choć coś przeczytać, nie można było wcale liczyć. Był jeszcze nie wyspany, litery tańczyły mu w oczach i, przerzuciwszy parę kartek, w końcu to tylko zrozumiał, że już ani starej lekcji nie powtórzy, ani nowej się nie nauczy. W niemiłej perspektywie dawało to nową „pałkę” z łaciny. Ostatecznie do wszystkiego można się przyzwyczaić, więc i do złych stopni również. Wrażliwość Kazia pod tym względem była już stępiona nieco. Karyera wielkiego podróżnika, do której się przygotowywał, wymagała też raczej znajomości narzeczy afrykańskich, niż języków starożytnych. Znajomość łaciny mogła się być wprawdzie czasami przydać do stosunków z misjonarzami, no, ale to nie było konieczne. Tak, zdaje sobie jasno sprawę z całej bezcelowości klasycznych studyów. Kazio poświęcał się im tylko dla świętego spokoju w domu. Otóż teraz spokój ten znów był zagrożony.

Melancholijną jego zadumę przerwał głos matki:

— Kazik, bo się spóźnisz. Już dziesięć po wpół do dziewiątej.

W milczeniu wstał od stołu i z grobowym marszem na czole zaczął zapinać tornister. Z całej siły szarpał przytem paski, chcąc je poodrywać, ale rzemienie były mocno przyszyte, niestety. Aby czemś ten zawód wynagrodzić:

— Niech mi mamusia da dziesiątkę na kajet — odezwał się grubym, chrapliwym głosem.

— Jak ty mówisz?

— Bo ja mam chrypkę — odparł, nadymając gardło, aby pogrubić głos jeszcze bardziej.

— Nie masz wcale chrypki — odezwała się ostro matka — i proszę cię, nie udawaj. A na kajety wczoraj dostałeś.

Wnioskując z tej odpowiedzi, że jego sprawa jest już na całej linii przegrana, Kazio wydał z siebie jakiś nieokreślony dźwięk, manifestacyjnie zimno pocałował matkę w rękę i ruszył do przedpokoju po palto. Gorycz wypełniała mu duszę, gorycz, płynąca z po-

czucia niesprawiedliwości i krzywdy, jaka mu się działa. Matce zależało na tem, aby się do gimnazjum nie spóźnił, ale to, że on, wychodząc na taki deszcz i śnieg, chory na ulicę, może już jutro umrzeć, to jej na myśl nie przyszło. Bo to, że był chory, nie ulegało najmniejszej wątpliwości: przedewszystkiem już wczoraj wieczorem wcale się nie mógł uczyć, oczy go tak bolały, że liter nie widział, następnie postanowił się obudzić o godzinę wcześniej, a tymczasem zaspał, no i wreszcie, kiedy się obudził, było mu strasznie zimno. To wszystko były symptomy jakiejś naprawdę poważnej choroby. Może tyfusu albo ospy. Odrazu też, nie podnosząc się jeszcze z łóż-



W milczeniu wstał od stołu i zaczął zapinać tornister...

Rys. K. Witkowski

ka, wyraził wątpliwość, czy będzie mógł pójść do gimnazjum, ale matka rozstrzygnęła te wątpliwości w sposób tak stanowczy, że już nie warto było kwestyi po raz drugi wszczynać.

Czuł tylko, że to się źle skończy. Na ulicy, gdy go owionął chłodny wiatr i śnieg z deszczem począł mu się mazać po twarzy, ogarnął go taki beznadziejny smutek, że aż mu się łzy zakręciły w oczach. Odwinął kołnierz od palta naumyślnie, żeby mu śniegu za koszulę napadało, rozpiął później całe palto i przystanął przed wystawą sklepową. W podnieconej rozgorczyeniu wyobraźni rysował mu się żywo obraz jego choroby. Będzie leżał na łóżku, w malignie, nieprzytomny, a wszyscy w domu, smutni i przerażeni, będą się snuli dookoła niego na palcach. Ale już będzie zapóźno. Umrze. To zakończenie jednak nie bardzo przypadło mu do przekonania, na szczęście fantazyja wnet podsunęła mu pomyslniejsze. Nie umrze naprawdę, tylko zapadnie w letarg. Ułożą go w trumnie, na katafalku, wszyscy będą rozpaczali, a on będzie doskonale widział i słyszał, co się dookoła niego dzieje.

Ze smutnych tych rozmyślań zbudziło go nagle dość silne uderzenie w bok. Odwrócił się szybko i ujrzał przed sobą kolegę Jasia Zielińskiego, którego w gimnazjum przezywano Arbuze. Siedzieli obok siebie na jednej ławce i żyli w przyjaźni. Spotkanie Arbuza odwróciło odrazu myśl Kazia od groźnych, ale bądź co bądź dalekich jeszcze katastrof ku

stokroć narazie smutniejszej rzeczywistości, którą była pałka z łaciny i godzina lub dwie kozy za „uporczywe nieuczenie się lekcji”, wedle urzędowej stylizacji motywów wyroku. Więc na wesołe powitanie Arbuza odpowiedział posępnym mruknięciem.

— Chodź prędko, bo już bardzo późno — zawołał Arbus, ciągnąc go za rękaw.

Kazio machinalnie przyspieszył kroku.

— Czegoś ty taki smutny? — dopytywał go się kolega.

— Chory jestem.

— Wielka rzecz — roześmiał się Arbus — i ja jestem chory, a nic sobie z tego nie robię.

Ta brawura dotknęła Kazia do żywego. Odparł krótko:

— Łżesz.

— Ty sam łżesz — odciął się Arbus — a jeśli mi nie wierzysz, to patrz!

I z tryumfującym uśmiechem wyciągnął z kieszeni palta kawałek żółtawej, pomiętej materii. Był to plaster od kaszlu, zwany „thapsia”.

— Kazali mi to na piersiach nosić — ciągnął — ale już nie noszę, bo nienawidzę tego świństwa.

Kazio milczał, zgnębiony zupełnie. Do wszystkich jego smutków przyłączyło się przykre uczucie pewnej niższości wobec Arbuza, który był taki wytrzymały. Po chwili wzruszył ramionami i odparł z przekąsem:

— Ty nie byleś naprawdę chory, a ja jestem.

— To wróć do domu i połóż się do łóżka.

— Stąd będę wracał?

Zbliżali się do gmachu gimnazjalnego.

— Wielka rzecz.

— Za daleko.

— Powiedz, że się boisz.

Kazio poczerwieniał. Na taki argument należało właściwie odpowie-

dzieć silnym uderzeniem pięści. Ale niepodobna się bić na ulicy prawie że tuż pod samymi oknami gimnazjum. Ratując honor, odparł z rozpaczliwym postanowieniem:

— Wróć.

— Masz, lecz się — roześmiał się Arbus, wtykając mu swój plaster do kieszeni od palta.

I począł uciekać. Kazio, dotknięty do żywego tem nowem szyderstwem, puścił się za nim w pogoń. Ale Arbus wpadł już tymczasem do bramy gimnazjalnej. Biedz tam za nim znaczyło to pójść już i na lekcye. Więc, aczkolwiek Kazio dyszał pragnieniem doraźnej zemsty, zatrzymał się jednak. Ostatecznie, zarówno w domu, jak i w gimnazjum, czekało go przykre przejście, i, z dwojga złego wybierając, lepsza była przeprawa z matką w domu, zwłaszcza, że i tak i takby jej nie uniknął. Lepiej jest mieć zawsze jedną przykrość, niż dwie. Kazio postanowił wrócić.

To niesłuchanie ściśle rozumowanie dało mu fantazyi.

— Powiem, że jestem chory i koniec.

(DN)







Grupa uczniów i uczennic z ostatniego popisu Szkoły muzycznej prof. Antoniego Grudzińskiego w Łodzi.

NADESŁANE.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.  
**APTEKA E. GESSNERA** 27. Jerozolimska 27  
 w Warszawie

Zamiast tranu  
**EMULSYA TRANOWA**

z solami podfosforanu sodu i wapnia.  
 Zalecana w chorobach płuc, skrofulach,  
 chorobie angielskiej i innych.

**SERDECZNÉM ŻYCZENIEM**

każdego jest delikatna, czysta twarz, rumiany, młodzieńczościwy wygląd, biała jedwabno-miękka skóra i oślepiająco-piękna cera. Wszystko to daje Mydło z mleka liliowego „Konik“ wyrobu Bergmann & S<sup>ka</sup>, Radebeul - Drezno, z marką ochronną Konika. Wszędzie dostać można po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rossyjskie: Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.



PIERWSZA W KRAJU SPECYJALNA

**Fabryka pługów  
 JÓZEFA SUCHENIEGO**

w GIDLACH gub. piotrkowskiej.

poleca NOWOULEPSZONE

dwuskibowce z korbką, trzyskibowce do orki normalnej, kultywatory sprężynowe, oraz wszelkie inne pługi i narzędzia rolnicze.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

**piękne artystyczne teczki**

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

**C. Skoryna**

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tei. 49.

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisyje i t. p.



**MEBLE**

**ZAŁĘSKI i S-ka**

Warszawa, Erywańska Nr 2,  
 parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

**w prenumeracie pism**

krajowych i zagranicznych

**po cenach redakcyjnych.**



**HENRYK MICHAUX  
 LEKARZ DENTYSTA**

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI**

Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
 dom własny



# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych za **K**ONSERWATOR wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop najlepszy i nieszkodliwy.

**AGATOL** proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,  
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,  
WYROBY NOŻOWNICZE

**Bronisław Krug**

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.  
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

PASTILLES

DE

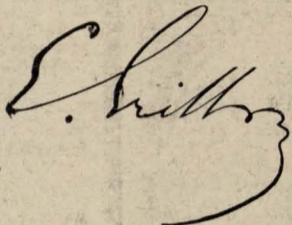
**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW  
**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



Najlepsza Pasta do Obuwia  
H. Trembińskiego

„INTRYGANT” ządać wszędzie

**HOTEL SAVOY**

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja  
**Ch. GEBER w Grochowie**

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłódna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32 Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz  
dentysta

**STEFAN ŻYCZKOWSKI**

NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

**E. UNIERZYSKI**

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMELKI

**LELIWA**

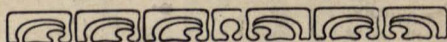
w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**

KRAKOW

TELEFON 671

Ważna NOWOŚĆ szczególnie DLA DAM nawet nie pretensjonalnych. Szczegóły za dwie marki 7 kopiejkowe. WILNO central. poczt. skrz. Nr 1.



Nowe maszyny  
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO”

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

**ALFRED GRODZKI**

Warszawa, 33, Senatorska.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
**Władysławy Kwiatkowskiej**

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY

**GEBETHNER i WOLFF**

Warszawa, Krak.-Przed. 17



KSIĘGARNIA

**GEBETHNERA i WOLFFA**

w Warszawie

poleca:

**WYBÓR POEZJI**

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**SKŁADY NUT  
GEBETHNERA i WOLFFA**

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda)

Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

**WIEDEŃSKIE** tanie wydawnictwa  
nutowe w tomach

„UNIWERSAL-EDITION”

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Bracia **ŁOPIEŃSCY** POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.